

J Ó Z E F
Koniuszewski,

wspomnienie z czasów prze-
śladowania Unitów na
Podlasiu.

—napisał—

N A D B U Ź A N I N .

„Aniół z nieba w złotą czarę
Każdą kroplę krwi tej zbiera,
Wie każdego co umiera
Za Wolność, Ojczyznę, Wiarę “—
ST. GARCZYŃSKI.

CHICAGO :
Drukiem i nakładem „GAZETY POLSKIEJ“
W. DYNIEWICZA,
1879 r.

Słońce wzbilo się wysoko na niebo oświecając słomiane strzechy podlaskiej wioski, położonej niedaleko szosy do Brześcia Litewskiego. —

Kłoda (nazwa wioski) leżała przy dużym rządowym lasie, wśród dobrych żyznych pól i pięknych łąk. — Mieszkańcy jej mający podostatkiem gruntów, jak również dobry zarobek przy wyróbce drzewa byli dosyć samotni; dla tego też w tej wiosce, największej ze wszystkich sąsiednich, stały schludne chaty okolone ładnymi ogródkami, także stodołki i chlewiki, a kiedy wieczorem z pola pędzono bydło, owce i konie, to aż serce się radowało patrzeć na nie, bo to krowy

jak sflawy, woły rosłe i dobrze utrzymane, owce dobrej rassy, a konie, choć zwyczajne wiejskie zwierzyny, to jednak tak dzielne i ładne że mało takich gdzie indziej. —

Dobrze było poczciwym wieśniakom; pracowali szczerze, Bóg też ich pracy błogosławił, żyli w dostatku i spokoju, niespodziewając się jak rychło źli ludzie spokój ten zamięszają. —

Latem roku 1874, pomimo, że większa część zboża pożęta leżała w mędlach na polu, a reszta chyłąc się pełnemi kłosami ku ziemi, prosiła się, jak to mówią, ręki żniwiaka, pomimo pięknego dnia, nie było widać pracujących, chociaż żadne nie wypadło święto. — Dziwnem wyglądać mogło takie niedbalstwo dla obcych, lecz za-

dziwienie to ustałoby natychmiast po wejściu do wsi. —

Zwykle tak cicha i pusta; jak wszystkie wioski nasze w dzień roboczy, kiedy ludność cała w polu, a w chatach pozostaną tylko starzy i dzieci, których prawie nie widać, Kłoda roiała się teraz tłumami moskiewskich żołdatów. — Co krok spotykało się to czarne mundury z żółtymi kołnierzami grenadjerów, to znów migały się granatowe z czerwonymi lampasami rajtusy kozaków, to zabręczał pałasz oficera obchodzącego biwaki, dość że w wiosce pełno ruchu i gwaru. Ustały roboty gospodarskie, bo surowy wydano rozkaz aby nikt z mieszkańców nie ważył się ze wsi nawet na pole wydalać, czego strażę i posterunki wojskowe najsurowiej pilnowały. — Dla czegoż to? — Wszak dawno skończyło się po-

wstanie. — Potokami krwi zalano zapal niezczęśliwego narodu silącego się rozbić stuletni grób siedm-kroć zabitej i gęstą darniną porosły już od dawna mogiły poległych za wolność. Nie było wojny w kraju, jednak że cicha ta wioska miała taki wojenny pozór.

Owszem była! — ale wojna innego rodzaju, wojna do jakiej zdolnym jest tylko carat moskiewski i jakiej widownią bywają tylko ziemie trzymane w jego szponach. Nie była to bowiem bitwa dwóch armji ścierających się z sobą równym orężem. — Ludność kraju nie myślała także o zerwaniu gniotących ją pęt, była to walka caratu ze spokojnymi mieszkańcami, walka żołnierzy carskich z bezbronnymi. —

Car łaskawie wejrzeć raczył na podlaskich Unitów i zezwolić na przyłączenie ich do prawosławia,

od którego oderwali ich Polacy, wysłał więc zbrojne pułki aby kulami i bagnetem dokonały tego połączenia. —

Splukały się krwią wieśniaczą progi kościołów Polubicz, Drelowa i Pratulina, a podlasy Rusini dając krew swą na ofiarę wspólnej macierzy, ściągali silniej węzeł, jaki zjednoczył w Horodle i Lublinie pobratymcze ludy. —

Taką to walkę prowadziła Moskwa i ta to przyczyna zgromadziła w Kłodzie carskich żołdaków. —

Mieszkańcy Kłody wiernymi zostali wierze ojców, wszelkie namowy moskiewskich czynowników nie zdołały ich nakłonić do apostazji, przysłano im więc egzekucją wojskową i goście ci gorsi od szarańczy dręczyli już od tygodnia biednych Kłodczanów.

Na środku drogi we wsi urządzo-
no wojskową kuchnię, koło któ-
rej uwijali się żołdacy kucharze i
właśnie rozdzielano krupnik z za-
branego od jednego z gospodarzy
wołu i z wybranych jako kontry-
bucya ze wsi krup, kartofli i sło-
niny.

Pomimo kilkakrotnego otrąbienia
sygnału dla żołdatów, aby się scho-
dzili po jedzenia, nie bardzo się
śpieszyli, bo mając pozwolenie go-
spodarowania po wsi, jak im się
spodoba, wieśniakom, u których
stali na kwaterach kazali nagoto-
wać sobie jeść, tudzież popiec po-
łapane po wsi kury, kaczki i pro-
sięta, nie byli więc wcale godni. —

Przy kotle stało zaledwie kil-
kunastu, a i ci zgromadzili się ra-
czej dla wspólnej pogawędki niż
dla zabrania rozlewanego im przez
kucharzy w kociołki krupniku. —

— *Ważmi* — rzekł kucharz nalawszy kociołek do stojącego obok kozaka i nakładającego fajkę.

— *Czort z taboj* — odrzekł wezwany — *na szto mnie eto*, ja jeszcze nie zjadł całego prosięcia co dziś dla mnie mój gospodarz upiekł.

— *Ważmi, gawariu tiebie* — odrzekł kucharz — *prikazano rozdat*, rób z tem co ci się spodoba a bierz.

Kozak podniósł kociołek, a odszedłszy z parę kroków, wylał krupnik na ziemię, tam zaś oparłszy się o płot zapalił świeżo nałożoną fajkę.

Za płotem, przy którym stanął kozak, do połowy rozebrany na opał, w ogródku warzywnym, w którym wszystko, choć nie dojrzałe jeszcze, wykopano lub podeptano i tylko gdzie niegdzie siedziała na zagonie zapomniana jaka główka kapusty, lub sterczała ty-

czka fasoli — siedziało troje dzieci.

Ukrywszy się w zielsku, gęsto koło płotu rosnącym, jadły surową rzepę, znaną na zniszczonych zagonach. Biedne dzieci, nie jeszcze dnia tego nie miały w ustach, bo żołdaci zabrali wszystko co dziś ugotowano, a więcej gotować nie pozwolili, zostawiając to dla siebie na jutro.—I tak marło głodem biedactwo, podczas kiedy krwawą pracę ich rodziców i sąsiadów marnowano. Wkrótce rzepy nie stało, dzieci jednak głodu nie zaspokoily, owszem coraz dotkliwiej czuć im się dawał.

— *Oj jak mene jisty choczatsia* — szepnęła z płaczem mała, może sześćioletnia dziewczynka — *oj szczyby mene chot z kawałoczek chleba.*

— *Cicho Marynko cicho*—rzekł do niej półgłosem starszy, siedzący obok niej siedzący, chłopak — *bacz,*

tam stoit Moskal, to woźme tebe jak ustyszy.

Drugi chłopak, może dziesięcioletni, wyglądał tymczasem dziurą w płocie na drogę.

— *Baczta* — rzekł po chwili — *tam Moskal kinuw dużo kaszy i kawalok miasa, tut blisko, ja joho dostanu, to budemu wsi jisty* — to mówiąc sięgnął ręką przez dziurę od płotu i zachwycił garść kaszy, tudzież kilka kartofli, z wylanego przez kozaka krupniku wraz z piaskiem, z którym to wszystko się pomieszało. Dzieci radośnie podzieliwszy się zdobyczą zaczęły zjadać ze smakiem, nie zważając na piasek, który im trzeszczał w zębach. Zachęcony powodzeniem chłopiec, sięgnął drugi raz, starając się dostać leżący nieco dalej kawałek mięsa, lecz na nieszczęście palący fajkę kozak, dojrzał wy-

ciągniętą przez dziurę w płocie rękę i zajrzawszy zań, spostrzegł biedne dzieciny.

— *A praklatyje miateźniki!* — krzyknął — *razwie eto dla was, paszli won!* — a zdjąwszy z siebie nahajkę, ściągnął nią po plecach sięgającego po mięso chłopaka, który z płaczem uciekł, następnie zamachnął się drugi raz na dziewczynkę i biedne dziecko możeby skonało pod zbójcką ręką, gdyby jej nie zasłonił młodszy chłopiec, co to ją wpierwej z głodu płaczącą uspokajał. Poczciwy chłopak zasłoniwszy siostrzyczkę od kozackiej nahajki, sam za to został uderzony w głowę, tak że krew mu twarz całą oblala, nie tracąc jednak przytomności porwał dziewczynkę na ręce i pobiegł co prędzej za swym towarzyszem.

Walecznemu kozakowi, po doko-

naniu tak bohaterskiego czynu, nie chciało się jakoś gonić dzieci, poprzestał tylko na łajaniu przeklętych buntowników, którzy ośmielają się chcieć jeść, kiedy car każe aby wyzdychali z głodu.

II.

Kiedy to się działo na drodze, w jednej z chat zajętych na kwaterę starszyny, siedziało za stołem trzech oficerów piechoty i dwóch kozackich, przy drzwiach zaś stał artielszczyk, dwóch podoficerów, uriadnik kozacki i pisarz miejscowej gminy Potapów. — Na stole stały butelki z wódką i talerze z niedokończonem jadłem, a dieńszczyk przy kominie krzątał się koło samowaru. Wszyscy oficerowie byli już pod dobrą datą, jak

przekonywały ich zarumienione twarze i spora liczba pustych już butelek.

— *Nu szto muzyki poddają się?*
—zapytał się major, dowódca tej krzyżowej wyprawy, podoficera stojącego przy drzwiach.

— *Nikak niets, Wasze Wysoko Błachorodje*—odrzekł zapytany.

— *A padlecy, uparte bestye,* — mruknął oficer—*caria niestuszajut,* nu ja im dam.

— Tak Wasze Wysoko Błachorodje każe wziąć jutro wołu i co potrzeba do kotła? zapytał podoficer.

— A jakże—odrzekł major—wziąć tak jak dziś a swoją drogą kontrybucją.

— *Wasze Wysoko Błachorodje*—rzekł ortielszczyk—i z dzisiejszego wołu została się większa połowa, bo żołdacy jeść nie chcieli, także krup,

kartofli, chleba mamy jeszcze dość, tak może *Wasze Wysoko Błachorodje nie przykażet brat zawsza.*

— *Małczy durak!* — krzyknął major — nie wtrącaj się w nie swoje rzeczy, jak żołdacy nie chcą jeść, *to broś won sobakam*, a brać trzeba, przeklętych *buntowszczyków* zedrzyć do ostatniej koszuli, *kagda caria nie słuszajut.*

— Iwan Andrejewicz — odezwał się oficer kozacki, moim kozakom trzeba osobno gotować i osobno wybierać dla nich, bo im mało, a przytem jak się muzyków więcej przygniecie to się prędzej upokorzą.

— *Szto wy tałkujecie Pawel Iwanowicz* — odpowiedział major — wasze kozaki nakradną więcej przez dzień jak moi żołnierze przez tydzień cały, jak sam widziałem jak jeden z nich wylał swoje jedzenie, a wy mówicie że im mało.

— *No ja wam gawariu Iwan Andrejewicz* — rzekł cokolwiek zmieszany oficer kozacki — że lepiej będzie jak więcej będziem brać od muzyków to prędzej sobie z nimi poradzim.

— *Nu, nu, puszkaj bierut* — odrzekł major i sięgnął po butelkę z wódką a nalawszy pełną szklanekę zaczął pić powoli, gwizdząc jakąś piosnkę.

Oficer kozacki Paweł Iwanowicz Kalinin powstał tymczasem z krzesła, a przeszedłszy się po stancyi, zbliżył się do stojącego przy drzwiach uriadnika i rzekł do niego półgłosem:

— Kozaki niech jedzą na kwaterach, a to co dla nich wezmą i to mięso co dzisiaj zostało odesłać do Łomat do mojej żony z tą kartką — i podał mu złożoną kar-

teczkę.

— *Stuszaju Wasze Błachorodje* — rzekł uriadnik — ale dzisiejszego mięsa posyłać nie można, bo żołdacy sprzedali żydom.

— *A padlecy* — mruknął Kalinin — trzeba było nie pozwolić.

— *Nikaks nie lzia Wasze Błachorodje, — przykazał rotnyj kapitan.*

— Tak! — rzekł Kalinin — *nu haraszo*, więc jutro wzięść drugie tyle i *wsio*, mięso kartofle, kaszę, jarzyny odesłać mojej żonie.

— *Stuszaju* — rzekł kozak.

— Co tam z nim gadasz Paweł Iwanowicz — zapytał major — niech idą sobie, Jegorka *padawaj czaj a my saigrajem* w karty.

— Ja dawałem rozkazy na jutro — odpowiedział Kalinin.

— Rozkazy już dane, nie ma co więcej mówić, niech duszą mu-

żyków i koniec, *a tiepiet ubiraitieś k'czortu* — zawołał zwracając się do stojących przy drzwiach żołnierzy i pisarza.

— *Stuszaju* — odrzekli żołnierze i odsalutowawszy wyszli, pozostał tylko sam Potapów.

— *Ty czewo?* zapytał go jeden z oficerów — *ubierajś toże k'czortu.*

— *Wasze Wysoko Błachorodje* — rzekł Potapów, zbliżając się z ukłonem do majora — *ja chciałem zapytać o tego buntowszczyka Koniuszewskiego, kak Wasze Wysoko Błachorodje prykażet?*

— *Tak szto z nim* — odrzekł tenże z gniewem — *co ja mam rozkazywać, nie tylko on buntowszczyk, ale oni wszyscy, brać z niego kontrybucyę jak z wszystkich.*

— *On Wasze Wysoko Błachorodje* większy buntowszczyk jak

wszyscy, on wszystkich podmawia by cara nie słuchali i swoje dzieci, które, jak mówi, nie chrzczone, ochrzcił dawno po polsku z niegoby trzeba więcej.

— Ile płacą muzyki? — zapytał major.

— Po rublu z duszy od dorosłych a po pięćdziesiąt kopiejek od dziecka.

— Tak weź od niego po dwa ruble i idź do diabła, a dłużej mnie nie nudź, pozwalam ci nawet co ukraść, ale jak dłużej tu stać będziesz, *to pałuczysz w mordę sukinsyn, ubirajś!* — to mówiąc uderzył pięścią w stół ze aż zabręczały na nim szklanki. Potapów zaś nie czekając dotrzymania obietnicy wysunął się prędko za drzwi.

Dieńszczyk podawszy samowar i karty wyszedł także, oficerowie

zostali sami i popijając herbatę zaczęli grać.

— *Słysz Paweł Iwanowicz* — rzekł major do Kalinina — co ty gadał do uriadnika?

— Ja oddawałem mu *wojennyj przykaz* na jutro.

— *Ej, wriosz* — rzekł śmiejąc się młody praporszczyk — ja słyszałem jak ty kazał odesłać zabrane od muzyków mięso i kaszę do Łomat, do swojej żony.

— *Nu tak szto?* — rzekł major — czego się śmiejecie Wasilij Gregorjewicz — Paweł Iwanowicz ma rację, na służbie carskiej nasz brat zarobić powinien. Mało my się namęczym z przeklętymi muzykami, to dobrze żeby za to człowiek miał choć kilka kopiejek na wódkę i czaj.

— Ja nie przeciwko temu nie

mówię Iwan Andrejewicz — odpowiedział praporszczyk — ja się tylko śmieję że Paweł Iwanowicz kryje się przed nami.

— Wcale o tem nie myślałem — rzekł Kalinin — tylko nie chciałem mówić w obec żołdatów i Potapowa, nadto wszystko co się jutro weźmie chciałem mieć dla siebie, bo dzisiaj wy kapitan wszystko zabrali.

— A widzisz, jak ja się dobrze domyślił — rzekł śmiejąc się tenże, — i ciebie nauczyłem abys się pilnował. — Do tej pory marnowało się wszystko co żołdaty nie zjedli, a szkoda tak niszczyć dary Boże, lepiej wziąć za nie trochę grosza.

— Ale tak nie po kolożeńsku, — odpowiedział Kalinin.

— Pełno Paweł Iwanowicz, — o co tu się sprzeczać — rzekł

major — on wziął dziś, ty weźmiesz jutro i zgoda, a jak mało, to niech muzyki dołożą.

— A jakże z kontrybucją — zapytał drugi oficer.

— Już ja ułożyłem — odpowiedział major — bierzemy po rublu z duszy od dorosłych, a po pięćdziesiąt kopiejek od dziecka; rządowi poda się po rublu z chaty, reszta więc dla nas, ja jako wasz dowódzca biorę połowę, resztą podzielcie się.

Wydobywszy pugilares, odliczył potrzebną summę i podsunął oficerom, którzy skwapliwie takową rozdzielili między siebie.

— Czy dobrze? zapytał ich.

— Trochę mało — rzekł jeden.

— Jako mało — odpowiedział major — to sprawiedliwy podział, naprzód ja jako dowódzca powinienem mieć najwięcej, powtóre wy

sobie sprzedajecie mięso i inne rzeczy zabrane od muzyków; ja tego nie biorę, bo nie będąc żonaty, nie mam komu tego posyłać, dla tego chcę najwięcej pieniędzy. Zresztą i dla was więcej będzie nie długo. Już tydzień jak tu stojemy, a muzyki nie poddają się wcale, więc nałożemy na nich większą kontrybucję, rządowi poda się ta sama, a nam będzie więcej.

— A jak się poddadzą? — zapyta Kalinia — to co?

— Nie bój się, nie poddadzą się — uspakajał go major — twarde bestye, dopóki ostatnia krowa w oborze, i ostatnia koszula na grzbiecie, będą płacić, a jak już wszystko im zabierzem, to nam *wsio rawno*, niech się poddają czy nie; z gołego nic nie weźmiesz.

— Ale żeby czasem nie zrobili powstania, jak ich zanadto rozdraż-

nim — odrzekł drugi.

— *Uspakojties* kapitan — rzekł major — sami muzyki zanadto głupie, żeby się czegoś podobnego domyślili, a szlachtę i ksiondżów polskich, którzyby ich do tego mogli namówić, my już tak zdusili że nawet się cienia własnego boją.

— A zresztą — odezwał się zachowato młody praporszczyk, spoglądając na swój pałasz stojący w kącie — niech robią powstanie, tłum bez broni i nie umiejący musztry łatwo rozpędzimy, to praca nie wielka, a za te będą czyny i chresty i lepsze jeszcze żniwo dla nas się otworzy.

— *Nie battajtie* Wasilij Grigorjewicz — rzekł kapitan — wy nie wiecie jeszcze jakie to szelmy zawzięte te Lachy, czy to muzyki, czy szlachta. Bił ja się z nimi w 1863 roku to wiem o tem dobrze

— Jak raz nas napadł koło Lublina ich dowódzca Bogdanowicz, którego później złapanego w tem mieście roztrzelano, to ledwie trochę naszych z duszami uciekło i mnie samego tylko soldat szczęśliwie zasłonił od kosy, za to też zapłacił głową, bo mu ją przeklęty kosynier zmiotł z karku jak makówkę.

— Ej strach ma wielkie oczy — odrzekł lekceważąco praporszczyk — kosa przeciw karabina i armaty duraczestwo, wam może ze strachu taką się okropną wydała.

— Mylisz się Wasilij Grigorjewicz — odrzekł nieco urażony kapitan — był ja w Krymie i Polszy, a żem nie tchórz to dowodzi ten krzyż Gieorgija, ale wy taki zuch tu w chacie, tak dowodzicie o bitwach, choćście jeszcze prochu nie wączali, gdyby wam tak na-

prawdę zabrzęczały kosy nad uchem i śmierć zajrzała w oczy, to byście pewnie uciekli pod spódnice matuszki i zapomnieli że kosa przeciw karabina i armaty duraczestwo.

Oficerowie zaśmiali się z dowcipu kapitana i zaczęli przekpiwać z młodego praporszczyka, który w końcu umilkł, widząc wszystkich przeciw sobie.

Major tymczasem założył bank djabełka, zajęci grą Moskale nic prawie do siebie nie mówili, śledząc chciwem okiem na padające na stół karty, stawiali wydarte przed chwilą wieśniakom pieniądze.



Noc zapadła zupełnie, po chatach świeciły się jednak ognie i można

było od czasu do czasu usłyszeć to dziki wykrzyk moskiewski, to śpiew rozpustnej żołdackiej piosenki, to znowu cichy płacz, tłumiony z obawy aby go kto nie podsłuchał, jakiej biednej kobiety lub dziecka, które kryły się po za domami i w ogrodzie przed gośćmi zajmującymi chaty.

W chatach widno i gwaro, kwaterujące żołdactwo dokazuje, bo dowódcy nie tylko im zostawili wszelką swobodę, ale owszem rozkazali męczyć i dokuczać wieśniakom, tym przeklętym buntownikom, co nie chcą słuchać białego cara, który każe im wyrzec się wiary Ojców, wiary, jaką kraj polski wyznawał od wieków, i jaka weszła w serce i życie narodu.

Jasno więc i hałaśliwie po chatach. Żołdaci wypełniają wolę cara i dowódców. Nie znajdzie w nich

względu ani wiek, ani słabość, ani niewinność; widok płaczu i nieszczęścia ich nie wzruszy, nie przemówi do ich serca, bo soldat moskiewski serca nie ma, zna tylko rozkaz cara. —

Jak car każe być zbrodniarzem — będzie nim — bo taki rozkaz.

Soldat moskiewski, to nie żołnierz, który wziął broń w rękę dla obrony Ojczyzny i rodaków; to nie wolny obywatel kraju, zasłaniający pierś rodzinę, i chatę; nie wojownik gotów na poświęcenie dla świętej idei wolności, umiejący z rozkoszą umrzeć pełniąc obowiązek — nie! — uczucia te obce dla niego.

To niewolnik zbrojny, pies carski, płatny zbójca, któremu broń dano na to, aby mordował niesłuchających wszechwładnej carskiej woli, choćby nawet krewnych i ro-

dziców własnych, aby podbijał pod władzę carską coraz nowe narody.

To brytan, który puszczonej ze smyczy, posłusznie kęsać będzie tego, kogo mu pan wskaże, nie pytając po co i na co.

Pastwią się więc i znęcają nad biednymi włościanami, bo im tak kazano i nie pomyślą nad tem, że całą winą męczonych jest to tylko, że chcą pozostać uczciwymi ludźmi.

Soldat w to nie wchodzi, dla niego to obojętne. Zresztą on nie zastanawia się wcale czy carski rozkaz sprawiedliwy, bo według niego car mylić się nie może i wszystko cokolwiek rozkaże musi być dobrem.

Car — Bóg ziemski — pan świata — więc nieomylny.

Pa siemu byt i koniec — reszta do niego nie należy.

Zresztą dano chwilkę swobody,

trzeba z niej korzystać póki można, bo jutro może wrócić trzeba do miasta, gdzie w miejsce zabawy popędzą na musztrę, lub do innej jakiej roboty, za najmniejsze uchybienie spadnie na plecy pałka feldfebla, lub wybije zęby ciężka dłoń komandiera.

Tam już nie będzie można wlewać jedzenia, bo go nie będzie do zbytku, w miejsce tłustego mięsa poprzestać trzeba na zgnilej kapuście i stęchłej kaszy, bo z rządowych pieniędzy wyasygnowanych na żywność, kraść muszą nie tylko wszyscy oficerowie, zacząwszy od pułkownika do praporszczyka, ale nawet feldfeble, kaprale, podoficerowie, pisarze pułkowi i rotni, tudzież artielszczyki.

Trzeba więc korzystać z czasu.

To też i korzystają, czują dobrze ich cbecność wieśniacy, a ile wy-

stępków i zbrodni noc swym cieniem okryła, ile łez krwawych spadło i rzewnych modlitw popłynęło do nieba, Bóg wie tylko jeden.

IV.

Na samem końcu wioski, w pewnem oddaleniu od innych chat, była nie wielka sadyba złożona z chatki ze stodółką i stajenką, obok tudzież małego warzywnego ogródka gdzie rosło kilka drzew owocowych.

Kto przejeżdżając lub przechodząc tędy kilkanaście ledwie dni temu widział tę sadybę, zdumiałby się prawdziwie zobaczywszy ją obecnie.

O ile dawniej wyglądała schludne i czyste, świadcząc o prawdzi-

wym dostatku i gorliwej pracy, o tyle teraz był to obraz zniszczenia, pustka jakby po tatarskim napadzie.

Wybite szyby, płot rozebrany, powydzierana słoma z dachu, wyrzucone z zawias drzwi, od stodółki i stajenki, w której niegdyś stała para ładnych koników, ryczały tłuste woły, krowki i cielęta, a dziś pustej, wszystko przedstawiało taki straszny widok, że każdy ktoby nie wiedział jacy tu goście przeszli, posądził by o wielkie niedbalstwo i próżniactwo gospodarza, mogącego w takim stanie zostawić swoją siedzibę.

Jednakże Józef Koniuszewski właściciel tej chaty wcale nie był próżniakiem, owszem pracowitszego noże od niego człowieka nie było w całej wsi.

Długi czas utrzymując się jedy-

nie z pracy rąk, służąc za parobka po dworach, to znów biorąc grunt na odrobek, wreszcie zdobywszy się na kupno chaty i kawałka ziemi, na której gorliwie i szczerze pracował, uzyskał nawet pewną zamożność.

Wstawał zawsze najraniej z całej wsi, u niego najpierw zaczynały się i kończyły: orka, zasiew, siana zbiór i inne roboty gospodarskie; w karczynie rzadko go widziano i to pijanego nigdy. Zimą nawet nie próżnował, lecz najmował się to do zwózki sążni do kulei, to gdzieś dalej z furmanką, słowem zawsze był zajęty.

Bóg też pracy jego błogosławił, bo z każdym rokiem zwiększał się dostatek, tak że już nawet zamyślał o przykupieniu kawałka gruntu od jednego z sąsiadów. Lecz nim tego dokonał, spadło na nie-

go nieszczęście, ściągnięte nie przez jego własną winę, nie losowe, ale od złych ludzi, którym spokój jego i dostatek byli solą w oku.

Tymi niegodziwymi ludźmi co go do takiego upadku i nieszczęścia przyprowadzili, byli nie tylko ci soldaci, którzy jak szarańcza spadli na wioskę, w której mieszkał, bo oni nie mając nic do niego o sobiście, dręczyli wszystkich zarówno, lecz głównym i zawziętym wrogiem jego był pisarz gminy Potapów.

Łotr ten korzystając z obecnej egzekucyi wynajdywał coraz nowe sposoby dręczenia biednego wieśniaka, a pochlebiając moskiewskim oficerom i udając przed nimi gorliwość w pełnieniu carskich rozkazów potrafił zamiary swoje przywieść do skutku. — Nienawidził on dawno Koniuszewskiego, a to

głównie dla tego, że, kilka razy nie udało mu się wyzyskać go tak jak innych wieśniaków.

Potapów, niegdyś pisarz wojskowy, później za jakąś kradzież obity pałkami i wypędzony z pułku, tułał się długi czas, żyjąc nie wiedząc czem i robiąc Bóg wie co, gdzieś tam w głębi Rosyi. — Czepiał się różnych kancelaryi, to innych rozmaitych zajęć, lecz wszędzie nie popasał długo, bo albo znowu co ukradł zszachrował, natura bowiem wilka zawsze do lasu ciągnęła, albo dla świadectw, jakie posiadał z pułku nie chciało go trzymać.

W Moskwie gdzie kradną wszyscy, wielki złodziej nie lubi małego z którymby się dzielić musiał, zresztą znoszą tam tylko złodziei zgrabnych, co się złapać nie dadzą, a głupiec schwytyany na gorącym u-

czynku, pokutować musi za wszystkich, których nie złapano. — Biją tam złodzieja nie za to że kradł, ale że się dał złapać, — Nic więc dziwnego że Potapów łapany nie raz nie miał powodzenia.

W chwili kiedy wrzało w Polsce powstanie 1863 roku, było z nim już bardzo źle. — Obdarty, wynędzniały włóczył się po ulicach Moskwy, żyjąc na wzór ptaków powietrznych Bożą opatrnością, a jak utrzymywali niektórzy, co go znali bliżej, kieszonkowem złodziejstwem.

Powstanie w Polsce wzbudziło w nim nadzieję lepszego losu, postanowił więc wybrać się tam. — Nie miał bynajmniej ochoty walczenia z powstańcami, bo wiedział że wojna to przecież nie żarty, choć wprawdzie armji szczególniej trwałym życiem się odznacza, tak że

w najkrwawszej walce nawet zawsze tylko jeden soldat ginie, a jeden bywa ranionym, to jednak i to nie dobrze, bo nuż jemu wypadło by właśnie być tym jednym, nuż jaka niegrzeczna kula choć wypadkiem utkwiałaby w mózgowicy. Perspektywa bądź co bądź nie wesoła. — Nadto zrażony do służby wojskowej poprzedniami niepowodzeniami w pułku, nie chciał jej próbować powtórnie, lecz spodziewał się znaleźć miejsce przy jakich dostawach wojskowych, administracyi skonfiskowanych dóbr, sądach wojennych, lub wreszcie jako szpieg, do czego czuł się szczególnie zdolnym.

Dostawszy jakimś cudownym sposobem pieniędzy na drogę, przybył do Polski już przy końcu powstania, kiedy Moskale korzystając z przełamania oporu nieszczęs-

liwego narodu, wszelkimi sposobami znęcali się nad nami, aby dać uczuć cały ciężar siły i potęgi zwycięzców.

Chcąc lepiej zdusić i bardziej uciemieżyć zwyciężonych, rząd utworzył wtedy prócz naczelników wojennych powiatowych, podległych tymże naczelników wojennych uczastkowych czyli obwodowych, których kilku było w każdym powiecie.

Każdy taki naczelnik miał przy sobie jednego, a czasem nawet kilku pisarzy, pracujących w jego kancelaryi, których główną czynnością było oprócz załatwiania urzędowych korespondencyi, badanie ducha, oraz stanu majątkowego mieszkańców obwodu, szpiegowanie, dowiadywanie się różnych potrzebnych naczelnikom wiadomości i. t. p.

Łatwo im to przychodziło, bo naczelnik taki był panem życia i

śmierci mieszkańców swego uczestku, on jednym słowem mógł zgubić nie tylko człowieka, ale nawet rodzinę całą, każdy więc jego łaski potrzebował, a inaczej do niego trafić nie można było, jak przez takiego pisarza, który jako jego zupełny pełnomocnik, pośredniczył przy dawaniu łapówek, wyrabiał paszporta, świadectwa, protekcyę, unarządzenie kontrybucyi i inne podobne interesa od naczelnika zawisłe.

Pisarze więc panów naczelników mając tym sposobem wielkie znaczenie, umieli zawiązywać stosunki z mieszkańcami, którym bieda i konieczność, grzeczność dla nich nakazywała, i nie raz potrafili zasięgać potrzebnych pryncypałów wiadomości. — Do jednego z takich dostał się Potapów przedstawivszy się mu jako urzędnik przybyły z Rossyi z chęcią służenia carowi w

Polsce, której jako buntowniczego kraju nienawidził szczerze. — Naczelnik poznawszy w nim na pierwszy rzut oka znakomitego huncwota, przyjął go z chęcią, bo takich właśnie moskale potrzebowali *k'łuczeniu abrusieniu polskawo kraja*.

Potapów rzeczywiście odpowiedział zaufaniu naczelnika i urzędując, dał się porządnie we znaki miejscowym mieszkańcom. Umiał on wcisnąć się do każdego nieledwie domu, wykryć wszystko, coby ściągnąć mogło odpowiedzialność, aby pryncypał jego miał możność zdzierania kontrybucyi.

Pamiętał przy tem o sobie, bo jeżeli ktoś zagrożony kontrybucyą, starał się przez niego u naczelnika o jej umorzenie, to potrafił go tak durzyć, obiecując mu na pewne zrobienie tego interesu, lecz zwłócząc to do nieskończoności,

wybierając przy tem datki za swoje starania, tak że biedny interesant, który umierzywszy łotrowi, nie żałował nagrody za jego mniemane trudy, musiał w końcu zapłacić nałożoną nań kontrybucyę, zwiększoną łapówkami, które wydrwił Potapów.

Złote to były dla niego czasy, lecz że na nieszczęście na świecie nic nie ma trwałego, więc też przyszedł wreszcie kres temu szczęściu.

Powstanie skończyło się zupełnie, ustał wyjątkowy stan oblężenia, obdarto kraj do ostatka, bo czego nie zrobili jeszcze naczelnicy i władze wojenne, tego dokonały włościańskie komisye i komitet zarządzający, tak że rząd niemając potrzeby utrzymywania uczestkowych i powiatowych wojennych naczelników, zwinął te posady. Potapów jeszcze raz w swem życiu znalazł się bez miejsca i w kłopo-

cie, będąc bowiem na posadzie, nie sobie jakoś nie potrafił zaościć na czarną godzinę, przepuszczając wszystkie pieniądze jakie mu wpadły w ręce na karty i gorzałkę z kolegami; zresztą nie myślał o tem wcale niespodziewając się aby posiadane miejsce miał kiedy utracić.

Zapewne by to i nie nastąpiło gdyby nie zwinięcie tych posad, umiał bowiem naczelnikowi, z którym teraz oba razem dostali odstawkę, czyli „*paszli w Duraki*,” stać się potrzebnym.

Kłopot był nie mały, wyjątkowy stan wojenny w kraju ustał, o posady więc odpowiednie dla pana Potapowa było trudno, tem bardziej, że z głębi Moskwy napłynęła massa czynowników, łakomych na polski chleb i pieniądze, którzy wyższe posady od dawna pozajmowali, a na niższych tolerowano

jeszcze Polaków, jacy pełniąc sumiennie swe obowiązki nie dawali powodu do wydalenia.

Nadto, daleko mniej płatni od Moskali, za których służbę pełnić musieli, *Russkij element* bowiem, składający się z rozmaitych włóczęgów i hołoty, zaledwie słabe wyobrażenie miało swoich obowiązkach, wiedział tylko że *brać i kraść* należy, tem samem byli niezbędnymi, i w każdym biurze musiało być koniecznie choć kilku takich białych murzynów, pracujących za wszystkich swoich kolegów i przełożonych. — Zresztą dość już było *russkawo elementa* w naszym kraju, wszystkie prawie śmiecie z Moskwy na Polskę wymieciono, tak że już rządowi samemu, stanęli ci apostołowie pansławizmu kością w gardle. — Uznawszy więc większą ich liczbę za zbyt dużą, nie tylko nowych nie przyjmował ale i przy-

byłych po trochu wysuwał, ciężko więc było Potapowowi gdzieś się umieścić.

Umiał jednak dać sobie radę.

Jeszcze zajmując posadę pisarza przy uczastkowym naczelniku, porobił znajomości z rozmaitymi naczelnikami i czynownikami moskiewskimi, wyższymi i niższymi, którzy się nim nie raz posługiwali.

Takim sposobem poznał się z niejakim podpułkownikiem Dewelem uczastkowym naczelnikiem w Biały, któremu jako jednemu z lepszych złodziei i łapowników nastroczał różne gratki obłowienia się, tudzież nie raz w nich przewodniczył.

Do tego to Dewela, przeniesionego do służby administracyjnej i mianowanego naczelnikiem powiatu w Biały, udał się Potapów prosząc o jakie miejsce. — Dewel wcale nie był od tego, aby mieć pod ręką człowieka, którego talent do-

starczania dobrych interesów już poznał, a ponieważ tworzono wtedy nowe na sposób moskiewski gminy, dał mu miejsce pisarza przy wójcie w Horbowie.

Wprawdzie była to posada daleko niższa i nie tak zyskowna jak poprzednia, lecz człowiek obrotny, i posiadający taki talent wietrzenia różnych *geszeftów*, umiał sobie na niej poradzić.

Nie wiodło mu się jednak z poczciwym Józefem Koniuszewskim, mieszkającym we wsi Kłodzie należącej do gminy, w której Potapów był pisarzem.

Koniuszewski zabiegły gospodarz, mający zawsze zapasik na czarną godzinę, zresztą pracowity, więc jeżeli się w domu obrobił to nie chcąc próżnować udawał się na zarcbek, trzeźwy, żyjący w zgodzie z wszystkimi i od nich lubiony; podatki płacił regularnie, sołtysem

ani wójtem być nie chciał, wypraszając się zawsze gromady gdy go wybrać chciała, uważał się bowiem za niezdatnego do tych urzędów, które pełniąc musiałby nieraz gospodarstwo swoje opuszczać i zaniedbywać, tem samym więc nie miał nigdy żadnych potrzeb do gminnego urzędu ani stosunków z panem pisarzem, który ufny w łaskę naczelnika trzął gminą.

To też Potapowa gniewało i z całej duszy Koniuszewskiego nienawidził, pomimo całej nienawiści jednak, nie mu zrobić nie mógł, gdyż pomimo szczerej chęci nie mógł znaleźć sposobności przycepienia się.

Próbował różnych środków ale te się nie udawały.

Kiedy nakazywano szarwarki do naprawiania dróg gminnych, postarał się, że na Koniuszewskiego wykazano, choć niesłusznie, wię-

kszą liczbę dni do odrobienia; ofiarowali się wszakże uwolnić go od tego jak mu da kilka rubli.— Koniuszewski obliczywszy że go najęcie pomocnika taniej kosztować będzie niż łapówka, najawszy parobka od sąsiada, szarwark odrobił, a Potapowowi nic nie dał.

Drugi raz Potapów dowiedziawszy się że tenże zgubił jakiś kwit podatkowy, zaczął go egzekwować, obiecując jednak postarać się o umorzenie tego niby nie zapłaconego podatku i drugi kwit, za stosownem ma się rozumieć wynagrodzeniem dostarczyć.

Koniuszewski pojechał do Białej, postarał się w kassie powiatowej o świadectwo zapłacenia tego podatku, które uzyskawszy, poszedł w dodatku, ze skargą do naczelnika, że go pisarz gminny niesprawiedliwie egzekwuje za to co już dawno zapłacił.

W innym razie skarga ta na nic by się nie zdała, jeszczeby skarżący co oberwał, lecz trzeba było trafu że wtenczas właśnie Potapów źle zrobił jakiś interes Dewelowi i ten był zły na niego. Ponieważ Potapów był także w Białym, zawołał go Dewel do siebie i zbeształ od *sukin-synów, maszenników* i. t. p. grożąc że go wypędzi, bo jest osiel i nawet rachunku podatków prowadzić nie umie, egzekwuje bowiem tych co zapłacili, a nic nie robi z tymi co nie płacą.

Potapów wściekał się ze złości, lecz musiał połknąć tę pigułkę, kląć przekłętą muzyka, z przyczyny, którego dostał taką burę.

Cała złość jednak na nic się nie zdała, musiał więc cierpliwie czekać stósownego czasu do zemsty, który też wkrótce nadszedł.

Kiedy Moskwa rozpoczęła przesładowanie Unitów, schwycił się

tej sposobności Potapów aby dokonać zemsty nad Koniuszewskim, gdyż przewidywał, że tak uczciwy człowiek nie zechce zmienić wiary Ojców, a tem samem narazi się na prześladowanie Moskali, którem on będzie kierował.

Prócz osobistej zemsty, miał Potapów jeszcze zamiary naładowania przy tej sposobności kieszeni, o czem nigdy nie zapomniał. — Była to już natura tak na wskroś złodziejska, że przy zdarzonej sposobności okradłby nawet rodzynego brata, ojca i żonę, gdyby ich miał, za rubla zrobił by wszystko coby od niego żądano, na największą zbrodnię by się odważył, gdyby mu za nią zapłacono.

Dawno już pożądliwem okiem spoglądał na gospodarstwo Koniuszewskiego, na jego żwawe koniki, piękne bydelko, zawsze pełną w jesieni stodółkę i czuł w kalecie

ruble, bo pod tym względem miał wyżli węż i pieniądz zwietrzył by nawet w piekle.

Potapów wcale taki nie bywa, między Moskalami osobliwością, w krajach zostających pod ojcowskim rządem białego cara, złodziej na złodzieju jedzie i złodziejem pogania.—Prawda ta pewniejszą jest od wszystkich matematycznych pewników, a Moskala co nie kradnie, co nie jest takim Potapowem w mniejszym lub większym stopniu za biletami pokazywać można. Prędyj chyba śnieg upadnie na Saharze, pod biegunami będzie 40 stopni gorąca podług Reaumura, prędzyszan zostanie kapucynem, a matematycy wynajdą kwadraturę koła i perpetuum mobile, niż M skale kraść i rabować przestaną.

V.

W samych początkach zaprowa-

dzania schyzmy na Podlasiu, Moskwa postępowała bardzo ostrożnie, czając się jak wąż chytry, aby tem pewniej zdusić swoją ofiarę.

Działania jej rozpoczęły się najprzód gorliwą opieką nieszczęśliwego obrządku unickiego, który buntownicze Lachy zpolaczyć i zlatinizować chcieli.

Biały car troskliwy o szczęście ciemżonego przez niegodziwą szlachtę polską ludu ruskiego, wziął go w swoją szczególną opiekę, której dotykalne dowody wnet mu uczuć się dały.

Choć pierwsza puszczonego sfora *diejatielej*, tych apostołów carskiej wiary, pracowała gorliwie, to lud ruski jednak z niedowierzaniem słuchał obietnic wielkich łask i opieki carskiej, a wzruszał ramionami na deklamacye o tem co to Lachy *pamiieszki* zrobić z nim zamysłają.

Powrotu pańszczyzny, którym

straszyła Moskwa, nikt się nie obawiał, aż nadto dobrze wiadano, że wrzód ten przepęklł i za gojony od dawna, a jeżeli pozostała jeszcze gmatwanina z serwitutami, to zrobił ją właśnie ojcowski rząd, który na swój sposób przekręciwszy manifest Rządu Narodowego z ostatniego powstania, obdarł tak szlachtę jak włościan.

Ciemnienie większych właścicieli ziemskich, zrujnowanych materialnie i gniecionych żelaznymi łapami *ruskiego elementu* nie było wcale strasznem, jakże bowiem mógł uciskać ten, co sam ledwie dyszał.

Rusin podlaski ma zdrowy rozsądek; skryty wprawdzie, ciemny i nie ufny, lecz jest za to stałym, odważnym i lubi nad każdym krokiem swoim pomyśleć.

Gadanie apostołów moskiewskich nie robiło na nim żadnego wrażenia, wprawdzie panu Lachowi nie

ufał, nie jednego nawet nie lubił, mając z nim dawne swoje rachunki, lecz była to jego sprawa domowa; choć więc trzymał się z daleka od Lacha, za to nie cierpiał Moskala, którego zawsze jak wroga uważał.

Chwilowo zbałamucony uwłaszczeniem moskiewskiem, przejrzał jednak wkrótce, i przekonał się, że biały car, darował mu to, co już oddawna oddanem było, przez tych właśnie Lachów, a w dodatku za tę łaskę, kazał sobie grubo płacić, bo z każdym rokiem większe ciężary, nie jest w stanie wypłacić się z tej darowanej mu niby ziemi.

W duchowieństwie łacińskiem wrogów widzieć nie mógł, bo przywykł oddawna patrzeć na braterstwo obu obrządków, na sąsiedzką zażyłość księży łacińskich z unickimi, widział podlaskiego bisku-

pa, starca szanowanego w całej okolicy, przychodzącego cześć oddać Śmu Józefowi, patronowi Unji, nie mógł więc raptem znienawidzić ludzi, których od dzieciństwa przywykł szanować.

Zresztą los Litwy, który starsi dobrze pamiętali, postępek apostaty Siemiaszki, wzbudzał w nim podejrzenie, że owa carska opieka na tem samem się skończy.

Przewidywania jego wkrótce też się spełniły, lecz Moskwę i apostołów jej fatalny spotkał zawód.

Oczyszczenie obrzędów unickich, skażonych przez Lachów, rozpoczęło się od zabronienia śpiewania różańców, koronek, tudzież innych religijnych pieśni w języku polskim, zabierania z cerkwi unickich monstrancyi, dzwonków, organów, a natomiast ustawiania schyzmatycznych carskich drzwi.

Biskup Chełmski ks. Kaliński,

nie tylko nie chciał przyjąć żadnych zmian, lecz nadto zabronił stanowczo podległemu sobie duchowieństwu, przystawać na nie, choć zakaz ten był zbyt ostrym, duchowieństwo podlaskie bowiem, znało swoje obowiązki.

Szacowny biskup, porwany przez Moskali, został wywiezionym do Wjatki i tam otruty, na jego miejsce zaś objął z woli rządu administracyję diecezyi apostata Wójcicki.

Szczera chęć Wójcickiego usłużenia Moskwie, nie na wiele się przydała, gdyż duchowieństwo podlaskie stanęło jak jeden mąż, i dając przykład pełnienia obowiązków, przekonało rząd, że twardy mieć będzie orzech do zgryzienia.

Lud podlaski wraz z kapłanami słyseć nie chciał o żadnej zmianie, w obrzędach kościelnych, widział bowiem dobrze i pojął czego

rząd chce, zresztą ostrzegali go jego zaci przewodnicy.

Schyzma przerażała go, zaprowadzenie jej znaczyło przerobienie go na Moskali, co równie jak zmiana wiary, tej wiary, która wyznawana od wieków, stała się potrzebą jego serca i sumienia, było dlań w najwyższym stopniu wstrętne.

Rusini podlascy, bądź co bądź, czuli się Polakami, Moskał dla Rusina pozostał zawsze obcym i wrogiem.

Mały brali oni udział w ostatniem powstaniu, lecz to raczej przez nieufność w swe siły i ostrożność niż niechęć.—Z chęcią bowiem pozbyli by się Moskali, lecz nie wierzyli aby powstanie miało po temu siły, bali się więc ryzykować i czekali rezultatów.

Następny wypadek jest jednym z wielu dowodów, takiego sposobu myślenia.

Kiedy w miasteczku Łosicach w dzień Śtej Trójcy, przekabacony przez Moskali pop Paweł Łoncki wystąpił z kazaniem w moskiewskim języku, lud w najwyższym oburzeniu wyszedł z kościoła, utworzyło się zbiegowisko na rynku, a wśród płaczu i narzekań kobiet, głośno przeklinano odszczepieńca.

Zbiegli się strażnicy ziemscy z żandarmami i zaczęli wzywać lud do spokojności, tłumacząc mu, że ksiądz postąpił dobrze, bo oni jako Rosssyanie, jedynie rossyjskiego języka nie tylko w nabożeństwie, ale i w potocznej mowie używać powinni.

— My Polacy, nie Moskale! — krzyknął w odpowiedzi lud zgromadzony, a jeden z wieśniaków, niejaki Omelaniuk, nie zważając na obecność żandarmów i straży ziemskiej, zaśpiewał pełnym gło-

sem pieśń: „Jeszcze Polska nie zginęła“... której setki głosów zawtórowały.

W Rusinie podlaskim odezwała się długo w głębi serca uśpiona miłość Ojczyzny. — Ojczyzny nieszczęśliwej, rozdartej, którą w jej ostatnim szańcu, t. j. kościele narodowym, dosięgała dłoń najeźdźnika.

Miłość ta drzemała w sercu Podlasiaka, jak iskra w popiele, trzeba było silnego podmuchu północnego wichru aby ją w płomień rozniecić.

Podmuch ten nastąpił, iskra zmieniła się w płomień, a lud jednocześnie z rozbudzeniem tego uśpionego uczucia, stał się zarazem wyznawcą tej idei, dla której od wieku już płynie po wszystkich krańcach ziemi najlepsza krew polska, rzucając wrogości w oczy pieśń uo-

sabiającą to wyznanie wiary ; pieśń, która była zawsze hasłem prawych synów Polski wśród walk i trudów, z którą na ustach tyle pokoleń w obronie tej idei legło do grobu.

Poznała Moskwa, że z takim ludem i takimi kapłanami nic nie zrobi, bo jak on sam, tak i przewodnicy jego na męczeństwo za Ojczyznę i wiarę gotowi, więc próżnemi będą jej usiłowania.

Daremuie kładli ludowi w uszy, że car chce jego dobra tylko, że chce go obronić od polskich panów, co o powrocie pańszczyzny myślą i przecież za nią w 1863 walczyli.

Lud nie słuchał, nie wierzył, i nie rzadko Moskał odzywający się z czemś podobnem usłyszał odpowiedź:

— „*Mowczawbyś suczyj synu, i my Polaki jak i nasze pany, oni*

ne za pańszczyonu a za Polszczu i wiru światuju bilisia, szcoby my tohdy wiedali, szczo to bude, to by was wże tut ni odnoj nohi nie było, bo wsi, i staryje i małyje poszli by was bity.“

Przycichła więc Moskwa, aby później z nową siłą wystąpić, tymczasem zaś szukała pomocy w ziemi, na której rodzi się więcej koron hrabiowskich i baronowskich niż pszenicy, w Ojczyźnie pobożnych Stańczyków, Świętojurców, posłów sejmowych bez języka, banków z hypoteką na księżycu, szacherek kolejowych, ludzi porządku mających dobra za kordonem i c. k. policji wydającej decyzje w sprawach piśmiennictwa krajowego i zgromadzeń wyborczych, która w dodatku wszystkie władze autonomiczne i nie automiczne wyręcza w zarządzie krajem.

Na tej to ziemi klasystej, gdzie

kwitnie szlachetna denuncyacya, gdzie szczują psami biednego emigranta, chcącego w Ojczyźnie spożywać w spokoju ciężko zdobyty kawałek chleba, lub po długiej tułacze, na swoich śmieciach przynajmniej głowę złożyć, gdzie praca około dobra publicznego podpada pod paragrafy kodeksu karnego, lecz gdzie szpieg moskiewski podróżuje nie tylko swobodnie ale nawet jako turysta amator pięknych widoków doświadcza wszelkiej pomocy od c. k. organów bezpieczeństwa publicznego, zebrano liczny kontyngens rusińskiego duchowieństwa, które za paczki pięknie litografowanych rubli sprzedało najprzód carowi dusze i sumienia podlaskich Rusinów, tudzież profesorów dla nowych moskiewskich gimnazyów w Królestwie i nauczycieli szkólek ludowych, a-

by młode pokolenie na wiernych poddanych cara wychowali.

Jako pierwsza próbka zjawił się najgorliwszy apostoł schyzmy ekskapelan ostatniego powstania dziś protojerej Liwczak z kilkoma towarzyszami.

Za nim przybył ostatni biskup Chełmski Kuziemski, który marząc o podniesieniu narodowości rusińskiej, w końcu zdezertorował ze swego stanowiska, mając na tyle sumienia jeszcze że nie chciał być narzędziem do przeprowadzania zamiarów carskich, lecz nie posiadający dość siły woli i charakteru, aby poszedłszy uczciwą drogą, stać się godnym następcą księży Szumborskiego i Kalińskiego.

Po jego ucieczce Moskwa jawnie i otwarcie przystąpiła do dzieła, pierwszym zaś jej czynem było usunięcie zacnego podlaskiego

duchowieństwa, którego w żaden sposób przerobić nie potrafiła.

Poszli zaci kapłani do więzień i na wygnanie, a miejsce ich zajęła szajka kupionych świętojuroców gotowych na wszystko byleby im dobrze za to płacono.

Moskwa też nie szczędziła rubli dla zyskiwania coraz większej liczby tych nowego gatunku missyonarzy. Znalazłszy w dodatku sprawne narzędzia w miejscowych gubernatorach, naczelnikach, a nawet dowódcach pułków nie wahających się szlif swoich splemić morderstwem dla chrestów i czynów, tryumfowała już zawczasu.

Tryumf zawczesny!

Choć lud pozbawiony przewodników pozostawionym był samemu sobie, choć gorliwie pracowała nad nim szajka świętojuroców, choć nowi krzyżowi rycerze, tacy Gro-

mecy, Dewele, Gubanjewy, Aleszki, Kalińskoje, Sztejni, Kutaniny, Tury, *a tutti quanti*, dopuszczali się takich czynów, jakie by nawet w dzikich krajach Afryki uszły za barbarzyńskie, wszystkie ich zachody jednak były stracone, bo lud podlaski, jak skała granitowa nie dał się skruszyć i nie uległ.

Dzikiem, zwierzęce czyny zbrojnych misjonarzy, drażniąc go, utwierdzały w oporze, a dnie Polubicz, Drelowa, Pratulina, Włodawy, Rudna, dowiodły jaką odwagę i siłę charakteru lud ten posiada.

Zapisał on też na wieki imię swoje na kartach dziejów, a krew jego dała naukę tym co chcieli rozwiązać węzeł łączący bratnie narody.

Kiedy rozpoczęło się na dobre prześladowanie Unitów, Potapów oburącz uchwycił się tak doskona-

tej sposobności dokuczenia Koniuszewskiemu.

Jeżeli Kłodczanie płacili kontrybucję, na Koniuszewskiego z pewnością nałożono większą.

Wprawdzie z polecenia rządu wszyscy mieli płacić jednakowo, lecz ponieważ ściąganie jej należało do wójta gminy, a przy nim był pisarzem Potapów i wszystko za niego robił, raz dla tego że wójt nie wiele się znał na prowadzeniu spraw gminnych, powtóre, wiedząc dobrze co to za ptaszek z pana pisarza, nie przeszkadzał mu wcale.

On więc zawsze na Koniuszewskiego dokładał, która to dokładka ma się rozumieć była jego zyskiem.— Oprócz bowiem osobistej zemsty, potrzebował także zapłacić szczyby swej kieszeni, która od czasu tranzlokacyi jego protek-

tora Dewela do innego powiatu nie mogła być tak ładowaną jak dotąd.

Następca bowiem Dewela, przeniesionego za zbyt już rażące złodziejskie sprawy do innego powiatu, Aleszko nie potrzebował pomocy Potapowa w wynajdywaniu zarobku.

Udając poczciwego co łapówek nie bierze, radził sobie w inny sposób.

Naprzykład: — od mieszkańców powiatu mających do niego interes, pożyczał pewną sumę pieniędzy zastósowaną do zamożności interesanta, ma się rozumieć na słowo, aby nie było na to żadnego dowodu. Z pieniędzmi temi pożyczający już się pożegnać musiał, a odmówić pożyczki nie podobna, pan naczelnik bowiem, pan życia, śmierci i losów mieszkańców, potrafił-

by dobrze dać się we znaki temu coby mu żądanej przysługi wyświadczyć nie chciał; zresztą interes jaki miał pożyczający do naczelnika, a na którym mu nieraz wiele zależało przypadłby z pewnością.

Pożyczki więc podobne były pięknem źródłem dochodu, a pan naczelnik przytem słynął za człowieka tak prawego, że nikt nie śmiał ofiarować mu łapówki bo obraziłby go tem śmiertelnie.

Z rządu bywa corocznie wyasygnowana pewna summa na oświecenie i opał bióra powiatu, oraz na papier, atrament, pióra i druki.

Pan naczelnik summę tę pobierał, a przybory do pisania kupował na kredyt w sklepach kupców mających do niego jakie interesa, drzewo zaś, którego zawsze musiało wystarczyć i na opał miesz-

kania p. naczelnika, u właścicieli ziemskich posiadających lasy. — Kredytu odmówić nikt nie mógł, a kupujący jakoś płacić zapomniał, pieniądze więc rządowe, na powyższy cel wyasygnowane zostały w kieszeni.

Pan naczelnik był tak prawym, że nie tylko łapówki, ale nawet tak drobnego prezentu jak funt kawy, głowę cukru, lub parę butelek wina nie przyjął nigdy—wszystko kupował—tylko jakoś płacić zapomniał.

Na cóż więc człowiekowi umięjącemu tak sobie radzić potrzebny był Potapów, chociaż mistrz w wynajdywaniu zarobków, jak o tem mógł poświadczyć protektor jego Dewel.

Zyski nastęrczane przez Potapowa były zawsze złodziejskie, a przecież Aleszko, nic nie brał.

Przybyła wreszcie kwestya unie-

ka, w której Aleszko był jednym z najgorliwszych apostołów, a z nią otworzyło się żniwo dla wszystkich czynowników.

Jeżeli wioska jaka płaciła np. 400 rubli kontrybucyi, to zacny i prawy Aleszko, który łapówek nie brał, składał raport o 200 rublach tylko, drugie zaś 200 zachowywał sobie za fatygę.

Urwał się więc zarobek Potapowa, brak ten zatem odbijał na takim Koniuszewskim oraz innych co mu w ręce wpadli.

VI.

Wnętrze chaty Koniuszewskiego przedstawiało także widok zniszczenia i nieładu.—Nic tam nie było, nawet pościeli na łóżku, a przez otwarte drzwi od alkierza służącego razem za spiżarnią, widać było

wypróżnione bodnie i skrzynkę z których nawet wieka zerwano.

Ciemność zaległa chatę, bo słabe ognisko tlejące na kominie, mdławę świecę tylko rzucało.

Przy kominie stała, od czasu do czasu ocierając łzy fartuchem i doglądając stojącego na ogniu garnka kobieta, młoda jeszcze; była to gospodyni tej chaty Marjanna Koniuszewska.

Cierpienie uwydatniało się w jej twarzy, tiała go jednak nic nie mówiąc, a łzę wymykającą się mimowoli ocierała natychmiast. — Czasem spojrzała na łóżko, gdzie na garści słomy zastępującej zdjętą pościel, bawiło się dwoje dzieci: dziewczynka i chłopak, jedno sześć a drugie czteroletnie.

Dzieciny nie pojmujące dotykającego rodziców nieszczęścia, nie pojmujące bolesnego wzroku matki,

jaki na nich niekiedy rzucała, niepojmujące także niemej boleści ojca, co siedząc w ciemnym kącie izby, ukrywszy głowę w dłoniach, w bolesnej pograżył się zadumie, bawiły się wesoło, strzegąc się wszakże głośniejszego śmiechu lub odezwania, bo rodzice im powiedzieli, że: *moskali w siele i woźmut was, jak budete kryczaty.*

Widziały one tych Moskali, co tacy straszni, z bronią, przyszli do chaty, zabierać wszystko. — Przez nich nie jadły obiadu, gdyż goście ci zjedli wszystko co matka nagotowała; Moskal więc w wyobraźni dziecinnej straszniejszym był od dziada z torbą lub kominiarza, bo ci brali niegrzeczne dzieci tylko, dobrym zaś nic nie mówili.

Był nawet znajomy dziadek, którego dzieci dość lubiły, nie pomijający nigdy chaty Koniuszewskich

w swych podróżach na jarmark do Piszczaca lub odpust do Kłodnia. — Powrotu zaś jego ztamtąd, szczególnie pilnie wyglądały, bo dziadek dawno znany rodzicom, zawsze przez nich opatrywany, nie tylko dzieci nie straszył, lecz miał zawsze dla nich w torbie jakiś gościnięc; to kilka urobionych z białego ciasta kóz z jarmarku, to znów obrazek lub medalik z odpustu, czasem obwarzanek, a nawet piernik. — Moskał zaś — co innego.

Ci co przyszli rano z takim hasłem do chaty, nie tylko zabrali jedzenie i potłukli garnki, ale jeden zerwał matce korale z szyi, a drugi dobrego Mucyka, który tak wiernie dotąd pilnował chaty i z którym dzieci tak się bawić lubiły, zabił szablą. — Mucyk znać poznał, że goście ci nieszczęście

niosą do chaty, bo zawsze tak dobry dla swoich, zajadle na nich się rzucił, nie chcąc puścić na próg, za co go też zabili, tak biedny psina zakończył swą wierną służbę. — Płakały dzieci po Mucyku; żał było pocziwego towarzysza zabaw, co z niemi chodził do lasu po jagody i grzyby, lub pilnował jak nianka, kiedy rodzice wzięwszy ich z sobą do żniwa, pod jego opieką zostawili na zagonie. — Nic więc dziwnego że bały się Moskali — a nuż przyjdą znowu i tak jak Mucyka ich wszystkich pozabijają? — Dla tego też zachowywały się spokojnie.

Cicho i smutno było w chacie, ogień słabo błyskał na kominku, a ciszę przerywało tylko kipienie wody w garnku, cichy szczebiot dzieci i szelest słomy, na której siedziały.

Wtem dały się słyszeć kroki w sieni, skrzypnęły drzwi i na progu w czapce na głowie, bez zwykłego powitania chrześcijańskiego ukazał się Potapow.

Drgnął ocknięty z zadumy wieśniak, żona spojrzała z trwogą na niego i nowego gościa, dzieci przestraszone przycupnęły na łóżku, kryjąc się w słonę, przytuliły do siebie i rzuciły trwożne na izbę wejrzenia, jak kurczęta, kiedy ich głos macierzy ostrzeże o bujającym w powietrzu jastrzębiu.

— *Nu szto Koniuszewskij, kak pa-
żiwajesz?* — odezwał się przybyły
postępując na środek izby.

— Oj! jak groch przy drodze, —
odrzek zapytany — czy to pan
nie wie jak my teraz żyjemy?

— Ha, twoja wina — powie-
dział Potapow — czemu cara nie
słuchasz, czemu nie chcesz się pod-

pisać, że będziesz posłuszny rządowi, chodził do cerkwi i spowiadał się, czemu dzieci nie ochrzczisz? — Widzisz, ty sam winien, car dobry, car was kocha, a wy się buntujecie, to przez to źle z wami i jeszcze gorzej będzie jak się nie upokorzycie. — Uśłuchajcie tylko cara, a wszystko a wszystko jeszcze być może dobrze.

To mówiąc siadł na ławie, z której przed chwilą powstał Koniuszewski, a rozparłszy się, nogę na nogę założył i włożył ręce w kieszenie. — Dziki Moskal czuł się panem w tej chacie, w twarzy jego nie było widać żadnej litości nad położeniem nieszczęśliwego wieśniaka, w jakie sam go przecież wprowadził; przeciwnie, malowała się radość z dokonanej zemsty, radość, że ten, któremu on tak długo nie zrobić nie mógł, jest

w jego rękę, na łaskę bezwarunkowo mu oddany. Chciwy wzrok jego błakał się po kątach, śledząc, czy nie znajdzie się jeszcze czego coby było wartem zabrania.

Koniuszewski stał ze zwieszoną głową, nie odpowiadając na deklamacje Potapowa, który po chwili rzekł znowu.

— No, ja przyszedł do ciebie po kontrybucję, masz zapłacić dziesięć rubli.

Moskal kłamał, bo choć mu wolno było zdwoić kontrybucję, jaką dotychczas Koniuszewski z innymi wieśniakami płacił, to jednak nawet tak obliczona wyniosłaby tylko sześć rubli, cztery więc dokładał samowolnie.

— A z kąd ja ich wezmę Wny Panie — odrzekł Koniuszewski — jużecie mnie tak obdarli, że na całym majątku nie mam tyle.

— Co mnie do tego — rzekł Moskal — nie chcesz płacić to się podpisuj, a nie chcesz podpisać to płacić.

— Wny Panie — odezwała się przystępując do niego Koniuszewska — toż zmiłujcie się nad nami, zkąd my zapłacim, tyleście już od nas wzięli, toż już nie gubcie więcej. —

— Co mnie do tego! — wrzasnął zrywając się Potapow — co mnie do tego! to car każe nie ja, podpiszcie się to nie będziecie płacić.

— Ale zkąd my weźmiem Wny Panie, rzekła z płaczem kobieta, kiedy nawet na chleb dla dzieci nie mamy.

— Jak to nie macie, a gotujecie sobie kolacyą? — zapytał wskazując garnek.

— Oj, co to za kolacya Wny Panie, rzekła kobieta — trochę

tam kartofli uzbierałam w ogrodzie, co żołdacy nie wykopali, to i gotuję; dzieciśka głodne, dziś od rana nie jeszcze nie jadły, ale nawet kawałka okrasy, ani garstki soli nie mam.

— A ty jak śmiała zbierać po żołdatkach, to dla żołdatów było, nie dla ciebie, ty buntownica — ty wiesz, że za to razem z dziećmi pójdziecie w Sybir, to kradzież kazionnych rzeczy — krzyczał bijąc pięścią w stół Potapow.

— Ależ Wny Panie — odrzekła zalekniona kobieta, ja to na swoim zagonie uzbierałam, toż to nasze było, my to zasadzili i my to mieli zbierać, czyż to już nam swojej pracy ruszyć nie wolno?

— Jak dla carskiego wojska było zabrane, tak już nie twoje, tylko carskie, wrzeszczał Potapow, biegnąc po stancyi i wygrażając

pięciami wieśniakom. To nie wasze miatiożniki, co cara nie słuchacie, tylko żołdatów co mu wiernie służą; wy to soldatom ukradli, a za to Sybir. — *Nu skariej kontrybucyu dawaj ty muzyk*, bo zaraz idę do majora i powiem mu że nie tylko się buntujecie, ale jeszcze okradacie żołdatów, to zaraz wam nałożą kajdany. — Słyszysz *padlec muzyk*, dawaj dziesięć rubli!

— Ależ ja nie mam tyle — jęknął nieszczęśliwy wieśniak — skądże wezmę.

— *Wriosz* — krzyknął Potapow, ja sam widziałem wczoraj, jakeś placił kontrybucyę, że w węzélku zostały ci jeszcze pieniądze, ty masz *dieńgi*, *muzyk sukinsyn*, tylko płacić nie chcesz, *nu ja tiebie piereucz*.

— Bóg świadkiem Wny Panie — rzekł Koniuszewski — że nie mam tyle, ot, zaraz pokażę — i

poszedłszy do łożka, z pod słomy wydobyl szmatę, której róg jeden zawiązany był w węzelek. — Rozwiązawszy, wysypał na stół garstkę miedzi, przy tem dwa banknoty, jeden trzy rublowy, drugi rublowy.

— Widzi Wny Pan, że mam całego majątku tylko sześć rubli, i to nie całe, bo tu drobnemi nie ma całych dwóch, więc jakże mogę zapłacić dziesięć.

— Co mnie do tego — rzekł Potapow, którego oczy błysnęły na widok pieniędzy — niechcesz płacić to się podpisuj i chrzczij dzieci, a nie — to płacić. Nie masz pieniędzy to sprzedaj co, a kontrybucyę oddaj.

— Coż sprzedam? rzekł zrozpaczony wieśniak — kiedyście mi wszystko zabrali, i woły, i konie,

i krowy, i wszystko, nawet psa mi zabiliście.

— Przecież siałeś zboże, to jeszcze znajdziesz czem zapłacić, odrzekł Potapow.

— To i cóż z tego zboża, powiedział biedny wieśniak — kiedy jeszcze nie zebrane, i jedno się sypie, a drugie w mędlach gnije, bo nie tylko do roboty nie puszczacie, ale wozic nie ma czem.

— Co mnie do tego! co mnie do tego! wrzeszczał Moskał, który zgarnawszy pieniądze, chodził po stancyi, myśląc tylko jakby te brakujące cztery ruble wydostać.

Wiedział dobrze, że wieśniak nie ma czem płacić, zabrać mu także nie ma co, lecz to go nie tylko nie wzruszało, ale owszem wprowadzało w większą wściekłość, że tych kilku rubli, na jakie liczył na pewno może nie dostać. — Myślał więc

— myślał, chodząc po stancyi i puszczając klęby dymu z papierosa, nareszcie uderzył się ręką w czoło i zatrzymał przed stojącym w milczeniu Koniuszewskim.

— *Słysz muzyk* — rzekł —
wszak ty masz jeszcze wieprzka, oddaj mi go, a ja za ciebie te cztery ruble kontrybucyi zapłacę.

— Wny Panie, toż zostawcie mi już tego wieprzka, to cały mój majątek, choć trochę okrasy i kawałek mięsa będzie dla dzieci, odpowiedział wieśniak.

— Nie zabierajcie go Wny Panie rzekła z płaczem jego żona — toż on więcej wart jak cztery ruble, ot na ostatnim jarmarku Piszczackim dawali za niego dziesięć, a my nie chcieliśmy sprzedać, bo już dobrze podkarmiony.

— Ja nie chcę waszego wieprzka, rzekł Potapow, *czort* z nim, ja

przyszedłem po kontrybucyę, a wam łaskę robię, że biorąc go założę te cztery ruble, których nie macie.

— To kiedy już tak Wny Pannie, rzekła Koniuszewska, kiedy go chcecie koniecznie zabrać, to choć dołóżcie co, toż on wart więcej, niech my choć mamy na kawałek chleba.

— *Matczy baba* — krzyknął Potapow, nie chcesz zrobić jak ja mówię, to ci tego wieprzka jutro zarekwestrują i zobaczysz czy na licytacji dadzą za niego nawet dwa ruble; no, przyjmujecie co dają, bo inaczej idę zaraz do majora, a by nakazał rekwestrować ciebie za kontrybucyę, zresztą może go i bez rekwestracji jutro wezmą, bo dla żołdatów trzeba mięsa do kotła, więc bierz lepiej co dają.

— Ależ zmiłujcie się, dołóżcie

co, choć na chleb dla dzieci, błagała Koniuszewska, wszak ten wieprzek niepotrzebnym wart dziesięć rubli, a wy za niego nic nie dajecie.

— Jakto nic? odrzekł Potapow, przecież zapłacę za was resztę kontrybucyi, której nie macie z czego oddać — Nie chcecie mi sprzedać, to mniejsza o to, jutro go wam z pewnością zabiorą.

— A za cóż wy nas grabicie? zapytała płacząc kobieta, co my wam winni?

— Czemu nie słuchacie cara? rzekł Potapow, czemu się buntujecie? — car dobry — car was kocha, kiedy choć aby wy z nim jednej byli wiary, toście powinni to zrobić i nie słuchać waszych panów i *ksiondżów* polskich, co was tylko do buntu i rewolucyi namawiają. — Jak posłuchacie cara, to zoba-

czycie jak to dobrze będzie, car łaskaw jak ojciec, nie tylko was karać nie będzie ale dopomoże jeszcze.

— Już dajcie wy nam pokój z waszemi obietnicami — rzekł Koniuszewski, ja nic od cara nie chcę, tylko niech się odczepi odemnie, a da żyć i pracować na kawałek chleba spokojnie. Chcecie się paść naszą krwią i pracą, to się paście, tyleście już zabrali, to zabierajcie i resztę, a ja wiary nie zmienię i takim już umrę jakim byłem.

— A ty buntowczyk — krzyknął Potapow — ty wart iść zaś w kajdanach na Sybir, ty nie zasługujesz *sukinsyn*, że ja ci chcę dopomódz, ale *czort* *tiebie pabiery*, znaj moją łaskę, wieprzka biorę, a kontrubucyę za ciebie zapłacę.

— Oj, niech nas Bóg od takiej łaski uchowa, rzekł Koniuszewski.

za odchodzącym Potapowem.

Nieproszony dobroczyńca zawołał tymczasem dwóch znajdujących się w pobliżu żołdatów i z nimi razem udał się do stajenki, gdzie w kącie w zagrodzie stał spory wieprzak, ostatnia pozostałość inwentarza biednych wieśniaków, kazał wziąć go na postronek i poprowadzić z sobą do kwatery, z kądem zaraz tą nową zdobycz odesłał do domu.

Kwik prowadzonego zwierzęcia boleśnie obić się o uszy obojga Koniuszewskich. — Wiadomo jak wieśniak nasz przywiązany jest do inwentarza, który sam wychował i wypieścił, a tu tem boleśniejszą była strata, że, grabiono ostatek mienia, ostatek na który wiele liczone, po zabraniu zaś tego cóż pozostawało?

Straszniejszą jeszcze stawała się

nędza i tak już dająca się we znaki. Nędza ckropna — bez nadziei wyjścia, kiedy stanie przed oczami blade widmo głodu, a tu nie ma środka obrony przeciw niemu i patrzeć trzeba na cierpienia rodziny i słuchać jęku dzieci z płaczem wołających chleba.

Nie więc dziwnego, że rzewnie łzy polały się z oczu Koniuszewskiej i zwyczajem podlaskich kobiet z płaczem zaczęła zawodzić: *O! mojaż ty dolo nieszczęśliwa! oj moiaż ty biedońko! wże i ostatok zabira iut i szczo budemo robyty.*

I dzieci także słysząc jęki matki uderzyły w płacz, choć dobrze nie pojmowały o co tu chodzi, czuły zawsze coś złego, zresztą boleść matki pobudzała do łez.

On mężniejszy milczał, choć boleść i jemu serce krajała, choć łzy płynęły z oczu, nie cdezwał się je-

dnak, była to bowiem twarda podlaska natura.

Rusin podlaski ma dobre szczerre serce, czuć umie, lecz skryty i twardy, umie taić w sobie co mu dolega i raczej da się pokrajać w kawałki, upiec na wolnym ogniu, niż wrogowi zrobi uciechę z widoku boleści swojej i cierpienia. Krzywdę jednak doznaną zapisze w pamięci, nie zapomni nigdy i przy danej sposobności odwetuje.

Główne cechy charakteru jego, skrytość, wdzięczność i zawziętość. Biada Moskwie, jeżeli przyjdzie godzina odwetu, wtenczas ciężki zda porachunek z krzywd wyrządzonych temu ludowi, bo w nim otworzyła sobie śmiertelnych i nieprzejednanych wrogów.

— Cicho kobieto — rzekł po chwili *hody wże płakaty, ne wypłaczesz nyczoho, Moskal jak wolk, szczo*

wziaw toje wże propato, chuczej nawet od wołka odberesz, jak od Moskala, tyle my wże perebyli, perebudiamo szcze a im Boh za toje zapłaty. — I w oczach błysnął mu ogień, a na twarzy wybiły się uczucia nienawiści dla wroga i mężnego postanowienia.

— *Hody ptakaty* — mówił dalej — *ot daj lipsze ditiam weczeru, bo cityj deń hotodny.*

Usluchala wezwania męża kobieta, przestała zawodzić, lecz tylko po cichu szlochając, podeszła do komina, a odstawwszy garnek, wyłożyła z niego na dwie miski kartofle, z których jedną podała na łóżko dzieciom, a drugą postawiła na stole, następnie wydobywszy z zapiecka ukryty kawałek chleba, roskroiła go na cztery części i tak obdzieliwszy rodzinę, za-

siadła z mężem do skromnej wieszery.

Smutna wieczerza! Oboje Koniuszewscy jedli milcząc, prawie bezwiednie, jedli, bo ich głód zmuszał, dzieci tylko ucieszone, że już nie ma straszego Moskala, co tak groźnie krzyczał, że zresztą po tak długim wygłodzeniu się dostały jeść, były więc zadowolone, nie się jednak nie odzywały, bo zajadały ze smakiem.

Nie koniec jednak był cierpień nieszczęśliwej rodziny dnia dzisiejszego.

Potapow ułatwiwszy się z wysłaniem zagrabionego wieprzka, kontent z dobrego interesu, przechadzał się po wsi i jakoś znów skierował się w tę stronę, gdzie leżała chata Koniuszewskiego.

Idąc, spotkał wypadkiem dwóch pijanych żołdatów włóczących się

także i napastujących wieśniaków, jakich im spotkać się zdarzyło. — Mieszkańcy wsi jednak zwykle chowali się gdzie kto mógł, unikając podobnych spotkań. wiedzieli bowiem z doświadczenia co znaczyło, nawinąć się na oczy tym panom.

Waleczni więc carscy rycerze szli zataczając się po drodze i zadowolając na całe gardło żołdacką piosenkę, utwor jakiegoś kozarowego poety, która też swoim sensem i myślą, treścią i układem, zupełnie do pojęcia i gustu śpiewaków zastosowaną była:

„Ta mielieźnaja Warszawa,
Butowczyca iż dawna,
Hej, ha, luli, luli,
Buntowczyca iż dawna.

Zbuntowaliś polskie pany,
Stierwa, juchi abadziany,
Hej, ha, luli, luli,
Stierwa juchi abadziany.....“

Potapow chciał ustąpić z drogi śpiewającym bohaterom, wiedząc dobrze, że i dla niego choć Moskalla, wszakże nie noszącego wojsko-

wego munduru, spotkanie podobne nieprzyjemnie zakończyć się mogło. To mu się jednak nie udało, żołdaci bowiem zataczając się z jednego brzegu drogi na drugi, wpadli właśnie na niego.

— *Hej ty muzyk miatieżnik* — krzyknął jeden chwytając go za kołnierz, — *ty czewo?*

— *Szto ty ziemiak adutiel, szto li?* — odrzekł cofając się Potapow, — *ja że nie muzyk, ja russkij, zdiesz-nij gminnyj pisar.*

— *Ty wriosz szto ty* prawil bełkoczac Moskal, trzymając, a raczej trzymając się kołnierza Potapowa, który mu służył za pewien punkt oporu. — *ty gminnyj pisar czort tiebie gmimia-wo pisaria twoju mat.* —

Drugi tymczasem usiłując zbliżyć się do swego towarzysza zataczył się, i wpadł z całą siłą na o-

bydwóch, tak że ich o mało co nie przewrócił.

— *Szto ty tatkajesz muzyk, sukinsyn?* — krzyknął bijąc pięścią w kark Potapowa, *ja tiebie dam..... twoju mat.*

Potapow widząc że to nie żarty wyrwał się z całą siłą z rąk rodaków i odstępując kilka kroków, zaczął krzyczeć z całej siły:

— *Szto wy aszaleli ziemiaki, cze wo wy ka mnie przystali, iditie duszyt muzykow, ja że nie muzyk, ja ruskij, astawtie mienia.*

— *Duszyt muzykow..... miatieżnikow.....* wołali zataczając się ku Potapowowi żołdacy, *podaj muzykow.....*

Widząc że się od kochanych rodaków nie uwolni inaczej, jeżeli na co innego ich uwagi nie zwróci, wskazał im chatę Koniuszewskiego, od której byli nie daleko.

— *Iditie tam rebiata* — wołał —
tam muzyk nawarył piszczy mnogo, i
wodka jest, iditie zabieritje jemu.

Wspomnienie wódki dało jakoś zrozumieć żołdatom słowa Potapowa, pojęli, że tam gdzie im wskazuje jest wódka, której choć dosyć we łbach mieli, napiliby się jeszcze z ochotą. Potoczyli się więc ku wskazanej chacie, Potapow tymczasem co prędzej umknął.

Koniuszewscy zaledwie w połowie spożyli skromną wieczerzę, kiedy otwarły, się na oścież drzwi i wtoczyli się niespodziani goście.

— *Hej muzyk sukinsyn!* krzy-
czeli — *dawaj wodka dawaj*
. twoju mat.

Zerwali się od stołu gospodarze na widok pijanych napastników, przestraszona Koniuszewska odbiegła w kąt, tuląc dzieci do siebie, on zaś stanął między niemi i ro-

dziną, aby ją w razie potrzeby zasłonić.

— *Dawaj wódki i mięsa, sukinsyn!* krzyczeli żołdacy taczając się po izbie.

— Nie ma wódki i jeść nie ma co, wszystkoście już zabrali, odrzekł spokojnie gospodarz.

— *Kak niema — ja tiebie dam niema, ty padlec, eto szto?* rzekł jeden z nich podsuwając się do stołu i biorąc miskę z kartoflami.

— Wsadzwszy w nią łapę całą, wziął jeden i poniósł do ust, lecz mu widać nie smakował, bo rzucawszy go i krzyknąwszy jeszcze: *dawaj wódki*, uderzył z całej siły miską o ziemię. Rozprysła się w kawałki i kartofle rozleciały się po podłodze.

— *Ty muzyk, sukinsyn wiatieżnik* — bełkotał, taczając się po izbie, tymczasem towarzysz jego

podsunąwszy się do łóżka obalił się na nie, rozgniatając jedzenie dzieci i sięgał rękami przytuloną w kątku z niemi Koniuszewską.

— *Ty baba....., wodki.....
a to ja тебе....* prawil.

Krzyknęła przestraszona kobieta, dzieci zapłakały, mąż widząc, że pijak mógł je lada chwila podusić, schwyił Moskala za kark i rzucił nim o ziemię, drugiego zaś podstępującego na pomoc towarzyszo-
wi, poczęstował tak potężnie kułakiem, że się także na poprzednika swego obalił. Korzystając z chwilowego uwolnienia się od napaści, nadto lękając aby szamotanie i krzyki pijaków nie spowodziło ich kamratów wynieśli się Koniuszewscy z dziećmi co prędzej z chaty, na wyżki do stajenki, gdzie resztę nocy przepędzili spokojnie.

Poturbowani zaś przez wieśnia-

ka Moskale, usiłowali się podnieść, czego jednak wypita poprzednia wódka nie dozwoliła, po wielu więc daremnych próbach bełkocząc różne bez związku słowa i przekleństwa zachrapali.

VII.

Tydzień jeszcze trwała egzekucya wojskowa w Kłodzie, przez ten czas codziennie miały miejsce sceny podobne, żadne jednak znęcanie się, żadna tyranja, nie była w stanie złamać stałości włościan tamtejszych.

Lud podlaski umie cierpieć dla swych przekonań, a dzikość barbarzyńska Moskwy, nie tylko nie straszala go, ani nie osłabiała, owzem potęgowała jeszcze jego ducha i bardziej utwierdzała w opozycji.

Nakoniec Moskwa widząc próżnemi wszystkie wysiłki, w dodatku nie mając co wziąć więcej z obdartych włościan, postanowiła pozwolić im spokojnie dokończyć żniwa, aby potem gdy się napelniały stodołki i spichrze wieśniacze, wpaść jak szarańcza i znowu pochłaniać krwawą pracę.

Wojsko więc wyszło z Kłody i wieśniacy zabrać się mogli spokojnie do spóźnionego żniwa, lichego w tym roku, bo i urodzaj był nie zbyt wielki, i z przyczyny spóźnienia dużo zboża się osypało, pożęte zaś przed przybyciem wojska, leżąc w mędlach na polu, na deszczach nie raz, porosło, gdyż Moskwa w czasie pobytu nie pozwalała wieśniakom nie tylko zająć się robotami, ale nawet wydalać z chat. — W dodatku konie kozackie i żołdaci narobili nie mało

szkody w polach i ogrodach.

Żyta, jęczmiona i tatarki potłuczone, owsy spasione do szczętu, grochy wydeptane, tak samo też wykopali Moskale warzywa i kartofle zostawiając tylko resztki.

Nie wielką więc korzyść ze zbiorów mieli gospodarze, nie tylko nie znalazło się na sprzedaż, ale nawet nie jeden łamał sobie głowę, jak przebędzie zimę i przednówek. — Część gruntów musiała zostać nieobsianą, trzeba bowiem było zostawić i na chleb a tu zboża wcale nie wiele.

Pomimo to jednak odetchnęli biedacy pozbywszy się gości i choć wcale nie wesolą przyszłość widzieli, gdyż goście zapowiedzieli powrót, zawsze jednak nastął choć chwilowy odpoczynek; a i to dobre.

W chacie Koniuszewskich bieda

była może większa jak w innych, zostając bowiem pod szczególniejszą opieką Potapowa, lepiej od innych obdarta została. — Zebrał wprawdzie zboża, którego nie miał do zbytku a jeszcze i tego musiał część sprzedać na najęcie konia do zwózki i sochy do obrobienia gruntu pod zimowy zasiew.

Sam inwentarza już nie miał, a z sąsiadów żaden dopomódz mu nie mógł, gdyż każdy ledwie sam się obrobić potrafił, ogólna bowiem liczba inwentarza tej wioski, przez postój wojska, zmniejszyła się blisko do połowy. — Jak mógł jednak radził sobie, zebrał, zasiał na nowo, resztę powoli młócił na chleb, zwróciwszy wprzód zaciągnięte długi.

Kiedy się uspokoił z robotami, chodził na najem, aby zarobić choć trochę grosza, na sól, okrasę, podatek i inne potrzeby, zarobek ten

wszakże innym był dzisiaj niż dawniej.

Dawniej mając parę dobrych koników, najawszy się do zwózki drzewa do kolei, mógł dwa razy na dzień obrócić i kilka rubli przywieść do domu. Dziś pracując ciężko z siekierą dzień cały, zaledwie pół rubla potrafił zarobić, w okolicy tej bowiem robotnika nie brak, droгим więc nie był nigdy, z przyczyny zaś wyjątkowego stanu obecnego, stał się jeszcze tańszym.

Ciężko więc było, potrzeb dużo, a tu grosz rzadki i trudny, zawsze jednak lepiej niż przy Moskalach i z Potapowem na karku. Chwilowy obecny spokój był już wielkiem szczęściem. — Żona jego tak samo najmowała się do tarcia lnu, kopania kartofli i dostała nawet na odrobek małego prosiaka, którego karmiła. — Klęski przebyte

goiły się powoli przy gorliwej pracy i zdawało się, że jeszcze będzie dobrze.

Spokój trwał nie długo jednak, bo zły duch Potapowa nie zapomniał o Koniuszewskim.

Z jesienią Moskwa znów rozpoczęła dragonady. — Teraz jednak zrzuciła maskę, nie chodziło już o żadne oczyszczenie obrzędów wschodniego kościoła, lecz żądała po prostu, aby Unici przyjęli schyzmę.

Lud jak przed tem nie przystawał na żadną zmianę obrzędów, tak i teraz słyszeć nawet nie chciał o przyjęciu nowej wiary.

Rozpoczęło się więc nawracanie prawdziwie moskiewskie, używane w drugiej połowie XIX wieku środków takich, jakich użycie haniebnem by nawet było w wieku XII lub XIII.

Oprócz egzekucyi wojskowych,

często gorszych jeszcze od poprzedniej, na łaskę bowiem i dyskrecją dowódcy zdana była wioska w jakiej konsystował, to jeszcze pojedynczo naczelnicy powiatów, straży ziemskiej, a nawet prości strażnicy i kozacy, dopuszczali się najdzikszych okrucieństw, wszystko bowiem było wolno, byle dokuczyć nieszczęśliwemu ludowi i zmusić go do uległości.

Naczelnicy z kozakami wpadali do wiosek i spędzając wieśniaków, żądali podpisania adresu do cara z prośbą o pozwolenie wyznawania jednej z nim wiary. Po odmownej zwykle odpowiedzi wieśniaków, porywano pierwszych z brzegu, bez różnicy płci i wieku i sypano setki nahajek. — Ileż to starców, kobiet, dziewcząt a nawet dzieci, gdyż i tych z pod tego nawra-

cania nie wyjęto, skonało pod batogami.

Innych znowu, tych mianowicie, co potrafiwszy zjednać szacunek sąsiadów, pewien wpływ na nich wywierali, kuto w kajdany i wraz z rodzinami pędzono w Sybir.

To nie jeszcze, były to środki jedne z łagodniejszych..... w niektórych wioskach bowiem, szczególnie w Bialskim powiecie, gdzie gospodarował Aleszko i naczelnik ziemskiej straży Gubanjew lepsze się działy rzeczy.

Między innemi, w czasie 18^{to} stopniowego mrozu wpędzano wieśniaków, dzieci i kobiety, w wodę do pasa i trzymano przez noc całą, otoczonych strażą, której rozkazano strzelać do tych, coby wychodzić chcieli, lub wpychać napowrót dzidami do wody. Gdziein-dziej znowu, kazano wieśniakom go-

łemi rękami zgarlać śnieg z drogi i przerzucać go za płoty, tak aby na drodze ani źdźbła nie zostało, kiedy zaś tego dokonano kazano znów brać z za płotów i pola i wysypywać nim drogę, dość, że zabawka ta trwała 24 godzin.

W obu tych wioskach kilkanaście osób, mianowicie kobiet i dzieci umarło z przeziębienia.

Oba te wypadki są autentyczne, chociaż kiedy je przytoczyły zagraniczne gazety nikt im wierzyć nie chciał i brano to za bajkę. — A jednak są to fakta, które kilkudziesięciu a może kilkuset naocznych świadków potwierdzić by mogło.

Był to szal dzikości, wścieklizna obłądu, z jakim apostołowie schyzmy silili się na wynajdywanie tak wyrafinowanego okrucieństwa.

Sławny Gubanjew uniesiony gor-

liwością apostołowania, wyglądał jakby furjat, nie podobna bowiem wyobrazić sobie, aby człowiek, nawet najokrutniejszy, mający zdrowe zmysły, mógł wyrabiać podobne hece.

W miasteczku Łomazach, w sąsiedniej wiosce Lubence i innych, nie dość, że kazał ćwiczyć do śmierci nahajkami, ale sam rzucał się na wieśniaków, bił po twarzy, kazał klękać, szarpał za brody i włosy, tudzież kopał nogami.

Kiedy go ręce zabolaly od bicia brał w nie kamień i nim uderzał, w końcu zaś zmordowany kąsał zębami w twarze.

Czyż to nie furja?!

A jednak była to tylko gorliwość w służbie i chęć zasłużenia na krzyż i gratyfikacyą, na tę ostatnią szczególnie, gdyż jako karciarz nałogowy, zawsze prawie był

bez grosza i wiecznie w długach. — Naczelnik znów Siedleckiego powiatu znany jeszcze 1863 Kalinko, naśladował Suwarowa.

Przyjeżdżał np. z bandą kozaków do wioski pod wieczór i dawał im na całą noc wszelką swobodę mówiąc: „*pagulajcie rebiata!*“.

Można więc sobie wyobrazić co się w takiej wiosce działo. Było to zupełne powtórzenie rzezi Pragskiej, z tą różnicą, że jawnie nie zarzynano, choć nie jednego po cichu przyduszono w kącie, zresztą działo się tam wszystko, czego tylko dopuścić się może rozbezwieszony, pijany i posiadający wszelką swobodę niewolniczy żołdak moskiewski.

Kto ciekawy bliższej o tem wiadomości niech zapyta mieszkańców wioski Czurył, Siedleckiego powiatu, najpierwsi oni doświadczyli ta-

kiej kozackiej pohulanki.

Takich to scen widownią było Podlasie, takich to środków używali do moskwiczenia Polskiej Ziemi dzisiejsi obrońcy chrześcijań półwyspu Bałkańskiego.

Lud trzymał się mężnie i nie ulegał — ponieważ nie było już na parafjach duchownych podlaskich, jakich miejsca zajęli sprowadzeni z Galicyi świętojurcy, którzy z ochotą nie tylko przyjęli schyzmę, ale nawet czynną rękę do prześladowania swoich parafjan przykładali. Lud więc gardząc zaprzańcami, odsunął się od nich zupełnie i nie żądał żadnych religijnych posług.

Dzieci pozostawały nie chrzczone, lub chrzcili je w domu rodzice sami — umarłych grzebali potajemnie krewni, nie dopuszczając dopełnić tego popowi, -- ślubów nie brano wcale — do cerkwi prze-

robionych na schyzmatyckie ludnie uczęszczał, odprawiając modlitwy w niedziele i święta po chatkach, tak że nastąpił zupełny rozdział między nowym pasterzem a jego parafją.

To też najbardziej gniewało popów, gdyż bierny taki opór, pozabawiał ich dochodów z parafji. — Ciągłe więc w skutek tego szły skargi, raporta etc., tak do naczelników jak i do administratora diecezji Popiela. Między tą masą skarg wiele było krwawo komicznych z których jedną dosłownie przytaczam.

— „Mam honor donieść Wmu Panu“ — (*Waszemu Błahorodju*) pisze świętojurca do naczelnika powiatu Radzyńskiego — „że dziś przybyli na nabożeństwo dwaj tylko parafjanie, t. j. soltys, którego strażnik ziemski gwałtem przypro-

wadził, i starosta cerkiewny (*starszy brateryk*) który mi radził, abym się powiesił na sznurze od dzwonka mającym służyć do sygnowania na rozpoczynającą się Mszę św.“

Powyższy autentyczny raport, najlepiej maluje usposobienie ludu względem narzuconych mu proboszczów, którzy też ciągle wzywali pomocy władzy wojskowej przeciw swoim parafjanom.

Nie pomogła jednak pomoc władzy wojskowej, nie pomogły batogi ani kontrybucje, żadna siła ludzka nie była w stanie zmusić ludu do zażądania jakiegokolwiek religijnej posługi od zaprzańców, Moskwa więc siłą porywała dzieci do chrztu i odbierała ciała zmarłych krewnym, aby popi tych obrządków dopełnili.

Koniuszewscy mieli dwoje dzieci nie chrzczonych jeszcze z cere-

monii, których do popa zawieść nie chcieli, kiedy więc kilkakrotnego wezwania nie usłuchał, kazano mu płacić po dwa ruble dziennie kontrybucyi dopóki dzieci nieochrzczeni. — Zaledwie więc odetchnął biedny wieśniak i zaczął pocięchu naprawiać doznane straty, znowu go niszczyć poczęto. — Co sobota zjawiał się wójt ze strażnikiem ziemskim w chacie i ściągał z polecenia naczelnika powiatu czternaście rubli. Koniuszewski pracował jak wół, wyprzedawał ćwiartkami pozostawione na zimę zboże i płacił, byle tylko dzieci ochronić przed chrztem schyzmatyckim.

O nim samym mówić już nie ma co, jak był, tak pozostał wiernym wierze Ojców i choć mu grożono Syberją, choć Aleszko zbić go kazał, także kilka tygodni leżał ciężko chory, jednak nie uległ.

— Moskwa więc widząc bezskuteczność siły i gwałtu, użyła w pomoc nędzy i głodu aby tym sposobem przełamać jego opór.

Nie wiedziała jednak na kogo natrafiła.

Pół września — październik i listopad cały, płacił Koniuszewski kontrybucyę, zabijał się pracą byle jej wystarczyć, znikły resztki zboża i wszystko z chaty cokolwiek jaką wartość miała, ani na chwilę jednak nie pomyślał o wypełnieniu woli Moskwy.

Choć słaby jeszcze po otrzymanych batogach, potrafił jednak stać czoło klęskom co nań spadały i radził sobie, wszystko więc byłoby niczem jeszcze, gdyby go wypuścił już raz ze swej opieki Potapow.

Ten jednak przyczepiwszy się raz do niego, nie puszczał swej

zdobyczy i jak wilk na owcę czy-
hał na resztki mienia.

Zjawiał się co parę tygodni mó-
wiąc, że ma polecenie zabrać dzie-
ci do chrztu, chcąc mu jednak zro-
bić łaskę, nie mówił nic jeszcze o
odebraniem poleceniu ziemskiej
straży, lecz przyjechał sam go o
tem ostrzedz. — Jeżeli więc Ko-
niuszewski zapłaci mu kilka rubli,
to bierze na siebie wstrzymanie
wykonania tego rozkazu, lecz mu-
si mieć te pieniądze koniecznie, raz
dla tego, że potrzebuje dać jedne-
mu urzędnikowi z powiatu aby na
niego nie nalegano o wypełnienie
rozkazu, powtóre i sam potrzebu-
je być wynagrodzonym za to że
się naraża na nieprzyjemności nie
słuchając władzy.

Nowa więc dziura do zapchania
przybyła, a biedny Koniuszewski
robił co mógł aby wystarczyć żą-

daniom nienasyconego Moskala. Zabić się pracą, iść na Sybir, zginąć wreszcie, to wszystko było dlań lepszem niż widzieć swe dzieci Moskalami.

Nadszedł nareszcie adwent, nędza powtórnie zajrzała do chaty, oboje Koniuszewscy nie mieli już nic, żywiąc dzieci i siebie dziennym zarobkiem, choć bardzo trudnym, bo wojsko zawitawszy powtórnie do Klody utrudniało mieszkańcom wydalanie się ze wsi, nadto zimą i w tak wyjątkowym stanie okolicy o robotę nie było łatwo.

Ten stan nieszczęśliwego wieśniaka nie wzbudził jednak w katkach litości, kontrybucyi zeń nie tylko nie zdjęto, ale najmniejszej nawet nie zrobiono ulgi.

— Bierz zkąd chcesz — wołali Moskale — kradnij sobie i płać, albo chrzej dzieci.

Koniuszewski ani kraść, ani chrzcić dzieci nie chciał, dobywał więc z kąd mógł pieniędzy.

Potapów zawsze po swojemu go wyzyskiwał, widząc jednak prawdziwą nędzę swej ofiary, z której wkrótce wiaść nie będzie co, postanowił dopełnić groźby zabrania dzieci gwałtem do chrztu.

— Muzyk hardy — myślał sobie — nie da, nawet siłą gotów się opierać, może skaleczyć lub zabić strażnika, pójdzie więc z familją na Sybir; grunt jego jako położony w rządowej wsi, wróci nazad do rządu, a ja już postaram się aby był albo sprzedany przez publiczną licytacją, to wtedy kupię go tanio, lub żeby mi go rząd za wierną służbę darował.

Taki plan osnuwszy, postarał się Potapów u Aleszki, bawiącego w tym czasie w Klodzie, że Koniu-

szewskiemu dano dwa dni do namysłu, po upływie których, jeżeli sam dobrowolnie dzieci do chrztu nie zanieśie, to mu je Moskale zabiorą i dopełnią tego sami, lecz w takim razie, za nieposłuszeństwo rozkazom władzy, a tem samem jawny bunt, pójdzie w kajdanach z rodziną na Syberyę.

Kontrybucyę swoją drogą przez czas dany do namysłu płacić mu kazano.

VIII.

Było to 10 Grudnia 1874 roku.

Śnieg okrył w około ziemię, a promienie chylącego się ku zachodowi słońca, przelamując w jego kryształkach, barwiły pola wszystkiemi kolorami tęczy.

Szron, którego ukazanie się w adwencie, wróży, podług przekona-

nia starych gospodarzy, urodzaj na rok przyszły, pokrywszy obnażone z liścia podlaskie bory, zamienił je w jakieś czarodziejskie gaje ze srebrnych drzew złożone.

Z nad pobielonych śniegiem strzech wiejskich, wzbijały się prostopadle ku niebu słupy dymu, znak pewnej pogody na jutro, z okień jaśniały ognie, skrzypiały żurawie u studzien, a psy, czujni stróże wieśniaczych zagród, poszczekiwały czasami, wietrząc może, skradającego się pod wioskę wilka, albo złego człowieka.

W Kłodzie jednak nie było tego spokoju, właściwego wioskom naszym w dzień zimowy, szczególnie pod wieczór, kiedy już zarzucona pasza bydłu, obrok koniom zasypany a wiejska rodzina zgromadziła się w chacie, około wie-

cznie płonącego, na szerokim kominie ogniska, aby po spożyciu wieczerzy, przy wtórze furczących wrzeciom słuchać opowiadań ciekawych bajek, lub śpiewu tych piosnek o rzewnej nucie, tak ulubionych naszemu ludowi.

Błyszczą wprawdzie jasne ogniska przez małe okienka chat, lecz nie wieczorynki wiejskie w nich się odbywają, ale orgje dzikiego żołdactwa, bo Moskwa dotrzymała słowa i znów w nieszczęśliwej wiosce połyskują bagnety, stukają szaszki kozackie, a chaty zajęli nieproszeni goście.

W chacie Koniuszewskich pustki zimno i smutno. — Nie ma nawet łóżka i skrzynek w alkierzu, nie ma półki do garnków, wszystko już wyniesione i sprzedane na kontrybucyę, pozostała tylko ława przy piecu i stół pod oknem,

oboje tak stare i liche że wziąć ich nie chciano.

Na tej to ławie siedziała Koniuszewska i płacząc tuliła dzieci do siebie. Gorzkiemi musiały być lzy biednej kobiety, wielką jej boleść, choć w twarzy malowała się rezygnacja i poddanie losowi. — Z nieopisaną miłością tuliła dzieci do siebie, które choć nie pojmując macierzyńskiej boleści, smutkiem jej smuciły się i płacząc tuliły się do matki.

Wszedł Koniuszewski.

Smutny wprawdzie, wybladły, pochyliła go praca nad siły, cała postać nosiła ślady cierpień przebytych, głodu i nędzy wycierpianej, lecz błyszczące oko, jasne i śmiałe spojrzenie, dowodziło, że go minione cierpienia nie złamały, że osłabłe może ciało, podtrzymuje duch silny, a ktoby umiał czytać

mu w duszy widocznej w oczach, dostrzegłby, że go zajmuje ważna myśl jakaś.

W istocie od kilku dni powziął już stanowczy zamiar, do którego popchnęło go prześladowanie Moskali, a wykonanie którego miało zapisać na wieki imię jego, obok niezapomnianych imion męczennika Levittoux i walecznego Orдона.

Kiedy wszedł, żona spojrzała na niego pytającym wzrokiem, on jakby w odpowiedzi na to nieme zapytanie kiwnął głową. Jeszcze rześsiwsze łzy polały się z oczu kobiety i konwulsyjnie prawie przycisnęła dzieci do siebie.

— *Czy lepsze bude jak ich zaberut i na Moskalów pochrestiat?* zapytał Koniuszewski.

— Oj nie — odrzekła kobieta,
— ale to tak straszno.

— *I czochó?* — odrzekł mąż —

raz maty wrodyła, raz treba umer-
ty, a lipsze chyba umiraty dla Boha
i światoj wiry naszej, czom tak.

— Wże robi jak choc -- rzekła
placząc kobieta — ja protywlatysia
ne budu, tylko tak szcze płaczu

— Ot ne płacz — powiedział Ko-
niuszewski — a pomolimosia szcze,
szczoby Boh zmitowawsia nad namy,
nihto po nas pomiuki sprawlaty ne
bude, to treba nam samym Boha
prosyty.

Uklękawszy przed wiszącym
na ścianie po zerniałym ze staro-
ści obrazkiem Matki Boskiej Leś-
niańskiej, zaczęła się modlić wieś-
niacza rodzina. — Rzewną i szcze-
rą była jej modlitwa, jak uroczy-
stą chwila, w której ją wznoszono.
— Nie oświeceni prostaczkowie
sercem pojęli wzniosłą ideę, za któ-
rą tyle krwi popłynęło, na której
ołtarze tyle złożono ofiar i poświę-

cając się dla jej tryumfu, w ostatnich chwilach życia błagali Stwórcę o łaskawe przyjęcie tej ofiary.

Ciszę uroczystą panującą w chacie przerywał tylko szmer modlitwy wieśniaków i srebrne głosy dzieciinne powtarzające słowa pacierza.

Promyk zachodzącego słońca wpadłszy przez małe okienko otoczył jasną aureolą głowy Koniuszewskich.

Snać Anioł Stróż wieśniaczej zagrody zaniósł ich modły przed oblicze Najwyższego, który wejrzawszy łaskawym okiem na ofiarę biednej rodziny otoczył ich w ostatnich chwilach pobytu na ziemi blaskiem, jakim wspomnienie ich czynu w przyszłości jaśnieć miało.

W sieni dały się słyszeć kroki, porwali się z kolan Koniuszewscy,

wszedł Potapow z dwoma strażnikami.

— *No Koniuszewskij* — rzekł — *dawolno zdał*, chrzczisz dzieci czy mamy ich zabrać? bo dwa dni co ci naczelnik dał do namysłu, minęły. Teraz więcej czekać nie będziem, albo chodź z nami, albo dawaj dzieci, to ochrzczim ich bez ciebie.

— Ha kiedy już tak Wny Panie, odrzekł Koniuszewski, — to już ja sam zaniosę do chrztu, tylko pozwólcie choć chrzciny przygotować.

— Ale nie ma czasu, odrzekł Potapow — dosyć czekaliśmy, chodź zaraz.

— Niech Wni Panowie raczą jeszcze z godzinkę poczekać, mówił kłaniając się wieśniak, toć muszę kogo z sąsiadów wpierwiej w kuny poprosić, także wódki, piwa i choć z kawałek chleba z kar-

czmy przynieść, bo w domu nie niema, a kumów przecie trzeba poczęstować.

— *Ach ty muzułk sukinsyn!* — rzekł jeden ze strażników — czy ty nie miał czasu wpierwej tego zrobić?

— Toż ja już robię co Wni Panowie każą, ale przecież nie można nie poczęstować kumów. Jeszcze wczesnie, ja za godzinkę będę gotów, niech już Wny Pan to zrobi dla mnie, dodał zwracając się do Potapowa, — już ja Wnu Panu się odwdzięczę.

— *Nu pażaluj*, rzekł, oblizawszy się na wzmiankę o wódce i wywdzięczeniu się, Potapow — poczekamy aż się przygotujesz, ale się spiesz.

— Pośpieszę — odrzekł Koniuszewski, tylko jeszcze prosiłbym, Wgo Pana żeby to ksiądz mógł

do chaty przyjść, bo dzieciaki w jednych koszulinach tylko, a okryć nie ma czem, to jak tu nieść na taki mróz.

— *Charaszo*, — rzekł Potapow — to jeszcze zrobię dla ciebie, że *świaszazennika* poproszę, a nawet sam dzieci do chrztu potrzynam, tylko kumy dla mnie poszukaj.

— Pokornie dziękuję Wnu Panu, odrzekł wieśniak — niech też i Panowie, dodał zwracając się do strażników raczą przyjść.

— *Prijdiem, prijdiem*, odrzekli *tolko smatri sztohy skarieje wsio być*.

— Za godzinę przychodzim z księdzem, rzekł, zwracając się ku drzwiom, Potapow, pamiętaj abyś był gotów, bo to nie żarty i o kontrybucyi nie zapomnij.

— A nie darują panowie? — zapytał Koniuszewski, toż ja już ochrzczę dzieci.

— Jutro za to płacić nie będziesz, dzisiaj trzeba, odpowiedział Moskał.

Wyszli — w spojrzeniu, jakie rzucił za nimi Koniuszewski, wybił się wyraz nienawiści i pogardy, chwilę patrzył na nich przez okno, a kiedy już wyszli za wrota i udali się ku środkowi wsi, gdzie znajdowała się kwatera starszyny wojskowej i naczelnika, do którego spieszyli z raportem o uległości Koniuszewskiego, zwrócił się do żony.

— *No zabirajmosia chuczej kobieto, rzekł — bo jak tyji sobaczej syny szcze raz pryjduť, to ne bude možna. Treba im tylko ich kontrybucyu zostawyty, nechaj nateszatsia.*

To mówiąc położył na stole dwa ruble, ostatnie jakie posiadał, włożył czapkę i z żoną trzymającą na rękach dzieci udali się do stodoły.

Mała stodołka pustką stała od dawna, wszystko zboże wynłócono i wywieziono, dosyć było tylko pozostałej słomy, której nie było czem spać, ani też możliwości zużytkować w inny sposób. Słoma ta snąc wpierviej, ułożoną była w kupę około ścian aż pod strzechę, tak że tylko trochę miejsca wolnego zostało w środku. — Wszedłszy tam z żoną i dziećmi, Koniuszewski wstrzymał się chwilę na progu i spojrział na świat ozłocony ostatnimi promieniami zachodzącego słońca jakby go chciał pożegnać.

Spojrział po raz ostatni na chatę którą własnymi rękami wystawił, w której mu się dzieci porodziły i w której z rodziną tyle dobrych i złych chwil przebył.

Za chatą ciągnęło się jego pole, to samo, które go lat tyle żywiło,

które on potem swoim tak długi czas oblewał. — Żegnał się z tem miejscem, na którym żył kiedyś w spokoju, dostatku i szczęściu, które zamaćili mu źli ludzie, żegnał je po raz ostatni i łza spłynęła po licu. Otarł ją szybko, a zamknąwszy za sobą drzwi, podniósł leżącą na ziemi siekierę z gwoździemi i zabił je ze środka.

Żona uklękła z dziećmi na środku stodoły.

— Józefie, rzekła po chwili, zabij mnie wprzód, to taka straszna śmierć

— Nie, nie mogę — odrzekł, ja nie zbójca, chcę umrzeć za naszą wiarę ale nie mogę w ostatniej godzinie zabijać jeszcze własną żonę. — Zgodziłaś się umierać ze mną i dziećmi, ale kiedy nie chcesz, to możesz iść, tylko mnie z niemi zostaw. No, prędzej mów

czy otworzyć ci, bo nie ma czasu, Moskale zaraz przyjdą to i umrzeć nie dadzą.

Ha, — rzekła ocierając łzy kobieta, — wola Boża, razem żyliśmy, razem umierajmy, tylko mnie straszno takiej śmierci.

— Nie taka straszna jak ci się zdaje, dym nas prędko zadusi; ja zaraz podłożę ogień a później będziem się modlić. Choć to mówią grzech zabijać się, ale cóż robić, jakże inaczej uratujem dzieci nasze od chrztu schyzmatyckiego.

To rzekłszy wydobył z kieszeni sukmany zapałki i na około popodpalał słomę, a kiedy jasne płomienie wzbijały się ku górze, ukląkł obok żony i oboje trzymając dzieci między sobą zaczęli śpiewać różaniec.

Sucha słoma prędko się zajęła, dym coraz bardziej napęlniał sto-

dołę, wkrótce zajął się dach i dojrzano pożaru ze wsi.

Rozległ się krzyk trwogi, wieśniacy i Moskale tłumnie rzucili się ku palącej się stodole. Dach cały był już w ogniu, padały na około palące się snopy, przystęp był nie możliwy, a silny wiatr bardziej jeszcze rozniecał płomienie.

— Hej! wody! siekier! bosaków!

— krzyczeli oficerowie i naczelnik.

— Kto podpalił? pytano się wzajemnie.

— Gdzie Koniuszewski? wołali inni, przekonawszy się, że w chacie nikogo nie było.

Gwałt, hałas, nie do opisania, nikt nie mógł pojąć przyczyny tak nagle wybuchłego pożaru, próbowano ratować, ale to było niepodobieństwem.

— Oni w stodole! krzyknął nagle jeden z wieśniaków, słuchajcie!

Ucichli zebrani. — Ze środka, stodoły dała się słyszeć, wśród trzasku płomieni, pieśń pobożna.

Umierająca rodzina żyła jeszcze i z pieśnią na ustach konała. Młodsze dziecko już nie żyło, śpiące na rękach, matki zaduszone dymem, we śnie przeszło do lepszego świata. — Starsze zaczęło płakać.

— Cicho, rzekła matka, *my idemo do Bozi, tam lepsze, Moskalów nema, ot pomolisia doniu, szczyby nas Bozia chuczej wzięta*, i włożyła dziecku w rękę święcony medalik, który miało na szyi.

Łkając i krztusząc się od dymu, zaczęła dziewczynka: Ojczy nasz lecz wkrótce odurzona padła na ziemię. — Matka przyciskając martwe dzieci do siebie sama tracąc już przytomność, ciągnęła dalej pieśń pobożną z mężem, który w złożonych rękach trzymając

szkaplerz wzniosłszy oczy w górę i śmiało patrząc na szalejące nad głową płomienie, śpiewał pełnym głosem, mężnie oczekując zgonu.

Płomienie sięgały odzieży wieśniaków, tliły się już sukmany, skręcały włosy, dym gryzł w oczy i dusił — oni śpiewali.

Wreszcie zamilkła pieśń pobożna na ustach kobiety, padła bez przytomności na trupy dzieci, a spódnica jej i kaftan zajęły się płomieniem.

Pozostał sam tylko Koniuszewski nad trupami rodziny.

Zgromadzeni w około stodoły widzowie stali chwilę w osłupieniu, słuchając pieśni pobożnej.

Próbowali otworzyć drzwi, lecz zabite ze środka nie ustępowały zaczęto je wyrębywać, lecz i tego zaniechać musiano, przepalone bowiem ściany już się chwiały, lada

więc silniejsze uderzenie mogło obalić na nich płonący budynek. — Łamano sobie głowy nad tym wypadkiem, nikt nie mógł pojąć, jakim sposobem Koniuszewscy znaleźli się zamknięci w stodole.

Nagle gwar i zamęt w tłumie, ucichł, bo przez otwór w ścianie pokazała się twarz Koniuszewskiego.

Jak na widok zjawiska z innego świata, osłupieli wszyscy, ujrzawszy twarz tę jaśniejącą szczytnym wyrazem zapału i poświęcenia.

— Ja sam podpaliłem stodołę — rzekł do zgromadzonych, — Moskale zmusić mnie chcieli do wyrzeczenia się ^Śtej wiary naszej, chcieli mi zabrać dzieci aby je pochrzcic po swojemu, wszystko wycierpiałem, nie mogąc jednak inaczej obronić dzieci, ginę z niemi; stodoła zabita, módlcie się za nas

sąsiedzi i pozostaniecie jak my wiernymi naszej wierze.

Znikła z otworu głowa Koniuszewskiego, skamienieli, przerażeni i zdumieni Moskale, a wieśniacy padli na kolana szepcząc modlitwy za konających.

W tem runął przepalony dach, zawaliły się ściany i pokryły w ognistej mogile śmiertelne szczątki męczeńskiej rodziny.

Takim był zgon Rusina podlaskiego.

Epilog.

Bohaterski zgon Koniuszewskich wywarł wielkie wrażenie na Moskali jak i na wieśniaków.

Ułękła się Moskwa podobnego męztwa, poznała, że trudno złamać opór ludu do takich poświęceń zdolnego, mieszkańców zaś Kłody przykład ten natchnął nową odwagą,

i wszyscy oświadczyli wrogom, że są raczej gotowi naśladować dany przykład, niż zmienić swą wiarę.

Widząc więc przez ten wypadek podniesioną siłę ducha, Moskwa ustepiła z tej wioski i do końca krwawych prześladowań na Podlasiu Kłodę pozostawiono w spokoju.

Chcąc zatrzeć wrażenie wywarte w okolicy przez ten wypadek, Moskwa uciekła się do swego odwiecznego systemu kłamstwa i w raportach urzędników sądowych, przybyłych na seksyę, napisano że Koniuszewski po pijanemu zarzucił ogień w słomę i wypadkiem zgorzał z rodziną.

Osobno znów puszczono wersyą, a nawet napisano, na polecenie gubernatora Gromeki, tego rodzaju raport urzędowy do generała gubernatora Kotzebuego, że nieboszczyk zabił swą żonę, a bojąc się

odpowiedzialności spalił się z trupem.

Sposób ten zohydzenia bohater-
skiego zgonu i zdarcia męczeńskiej
aureoli z pamięci wieśniaczej ro-
dziny nie udał się Moskwie. Zawie-
lu bowiem było świadków wypad-
ku wiedzących dobrze jak było rze-
czywiście. — Znaleźli się tacy, któ-
rzy widzieli oboje Koniuszewskich
wchodzących do stodoły, nadto do-
wiedziono również, że najmniej na
parę tygodni przed śmiercią nie-
boszczyk kieliszka wódki w ustach
nie miał, przykładne zaś pożycie
Koniuszewskich, znęcanie się Pota-
powa było powszechnie znanem. —
Zresztą w chwili pożaru przybyły na
miejsce wachmistrz żandarmeryi z
Biały, wyprowadziwszy odrębne od
władz sądowych i policyjnych śledz-
two urzędowe, jak to było jego
obowiązkiem, przekonał się, że,

Koniuszewski z żoną, zupełnie przytomni oboje, dobrowolnie poświęcili się na straszną śmierć, dla tego jedynie, bo nie widzieli innego sposobu ocalenia dzieci od chrztu schyzmatyckiego.

W chacie znaleziono pozostawioną na stole kontrybucyę.

Prześladowca i główna przyczyna śmierci mężnego wieśniaka Potapow, przy obecnej zmianie sądownictwa w Królestwie Polskiem, został sędzią gminnym w Horbowie i jest nim obecnie.

W ręce takiego to człowieka powierzono los mieszkańców połowy powiatu. Aleszko dotąd naczelnikiem powiatu a Gubanjew naczelnikiem straży ziemskiej w Biały.

W opowiadaniu tem charaktery i czyny osób których nazwiska wymieniłem starałem się skreślić najwierniej.

Czyny, panów naczelników i apostołów carosławia, sposób odbywania egzekucyi wojskowych, wszystko to jest zupełnie autentyczne; pisałem to co widziałem na własne oczy, lub słyszałem od naczynych świadków wiarogodnych.

Wieśniaka-bohatera znałem osobiście.

Nie wiedziałem, mówiąc z nim, że mam przed sobą człowieka, którego imienia lud nigdy nie zapomni i ze czią powtarzać będzie, jako przykład męztwa i poświęcenia.

KONIEC.

Spis książek

drukowanych w drukarni

„GAZETY POLSKIEJ”

Władysława Dyniewicza.

w Chicago.



- 1). Pośrednik Polsko - Angielski, książka dla Polaków w Ameryce dla łatwego nauczenia się po angielsku, z opisaniem każdego wyrazu jak się ma wymawiać; wypracował W. Dyniewicz. : c. 65.
- 2). Żółty Generał, z opowiadań wieczornych spisane przez Wł. Łozińskiego . . . c. 40.
- 3). Książka do nabożeństwa zajmująca 450 stronnic drobnego, druku, zawierająca nabożeństwo na każdy dzień całego roku, do Mszy ś., Spowiedzi, Komunii, Litanie, Nieszpory łacińskie Droge krzyżową, 6 pieśni łacińskich, 42 pieśni polskich, Kalendarzyk, i t. d. osobne wydanie dla mężczyzn i osobne dla kobiet po . . . c. 75, 1,00 i 150

- 4). Biali i Czarni, powieść z życia Litewskiego skreślił Jan Sygma 25
- 5). Gałązka cierniowa, powieść przez Paulinę z L. Wilkońską. c. 40
- 6). Pięć P. minus jedno R. Wielka Ramota ze wspomnień ojczystych, spisana przez Juljana Horaina. c. 40.
- 7). Kwiat niewinności, książeczka do nabożeństwa dla dzieci, osobne wydanie dla chłopców i osobne dla dziewcząt po c. 25.
- 8). Żywot Genowefy, powieść moralna i bardzo wzruszająca z starożytnych czasów c. 30.
- 9). Elementarz Polski, czyli nauka czytania, pisania i rachowania dla szkół katolicko-polskich w Ameryce, wypracował W. Dyniewicz, wydanie już trzecie . . . c. 25.
- 10). Mały elementarzyk Polski, wypracował Wł. Dyniewicz. c. 8.
- 11.) Katechizm dla szkół katolicko-polskich w Ameryce c. 8
- 12.) Piękna historia o cierplivej Helenie córce króla Antoniusza c. 15.
- 13). Różaniec Żywy, czyli reguły Różańca ś. z modlitwami na cały

III

- tydzień, powiększony kilku pieśniami do Matki Boskiej - c. 20
 Ta sama m. mocnej oprawie c. 30
- 14). Ludzie leśni i Wieszczki dzieci . . . c. 5,
- 15). Wyprawa na Sybir i ostatnie chwile szpiega przez Alex. Bednawskiego . c. 5.
- 16). Ślub królewski, Warszawa dnia 8 kwietnia i Bolesław Śmiały, król polski, przez Alex. Bednawskiego c. 8.
- 17). Wyprawa po żonę, wedle opowiadania starego organisty Franciszka Gączarzewicza spisał Paweł Gawrzyński. . . . c. 10.
- 18). Arje Polskie; zebrane od Polonii w Ameryce przez W. Dyniewiczza. . . . c. 25.
- 19). Powinszowania dla rodziców i innych drogich osób . c. 20.
- 20). Proroctwo Michałdy, królowej ze Saby. . . . c. 15.
- 21). Sennik, czyli wróżenie ze snów c. 15.
- 22.) Żywot Św. Wincentego a Paulo c. 10.
- 23). Dokąd idziesz, . c. 5.
- 24). Listek wśród burzy, e-

- pizod z wojny francuzko - pru-
skiej. c. 10.
- 25). M y n h a u s e n n o w y , ten z
długim nosem, czyli dziwaczne po-
dróże i figle. c. 10.
- 26). H r a b i a p a r o b k i e m u
K m i e c i a , powieść wyciągnięta
z Ramot Ramotków Wilkońskiego
. c. 10.
- 27). J a n O r l i k , znalezione dziecko
w gniaździe orlem, c. 10.
- 28). K s i ą ż e c z k a J u b i l e u s z o -
w a c. 8.
- 29). B u t y D z i a d u n i a o p o w i a d a -
nia J a n a Z a c h a r j a s i e w i c z a c. 10.
- 30). G a b r y e i H o ł u b e k , wielki wo-
jownik polski. c. 10.
- 31). K a l a m b u r y czyli dowcip i
prawda dla rozrywki i poucza-
nia. c. 10.
- 32). M i n i s t r a n t u r a z dodatkiem
dwóch pieśni narodowych c. 5.
- 33). G o r z k i e Ż a l e czyli P a s y a c. 5.
- 34). N i e s z p o r y ł a c i ń s k i e c. 4.
- 35). D r o g a k r z y ż o w a , czyli Sta-
cje c. 10.
- 36). D w i e m s z e i n i e s z p o r y
p o p o l s k u c. 4.

- 37). *Z e m s t a*, czyli wymierzenie sprawiedliwości przez Polkę, kochającą całym sercem Ojczyznę i jej Bohaterów . . . c. 10.
- 38). *D w i e P o w i e ś c i*, Dzień 25 Lutego, 1846 r. w Poznaniu i Powiastka Pauliny z L. Wilkońskiej. . . c. 10
- 39). *K a t e c h i z m w i ę k s z y* . 25
- 40). *C z t e r y P o w i e ś c i*, 1) z Niedalekiej przeszłości, Nowella przez M. D. Chamskiego. 2) Noc na poboju z wojny turecko-moskiewskiej 1877 i 1878 3) *M o c D u s z y* opowiadanie Edmunda de Amicis, przetłumaczył z włoskiego Piotr Zubrzycki. 4) *Z b i e g* 25 c.
- 41). *O J a n i e T w a r d o w s k i m*, wielkim czarowniku i jego sprawkach wraz z powieściami o czarach: *C z a r o w n i c a*, *O s p a l e n i u 14 m n i e m a n y c h c z a r o w n i c w D o r u c h o w i e*, *M a d e j o w e ł o ż e*, *C h ł o p i d j a b e ł*, *O s i e c z n a*. 39.
- 42). *O p o w i a d a n i e p o d r ó ż n e g o o s t r a s z n i e d z i w n e m ł o ż u*. 10
- 43). *B i t w a p o d K o b y l a n k ą d n i a 6 m a j a, 1864 r.* 5
- 44). *D r o g a k r z y ż o w a* czyli *O b c h ó d S t a c y i d l a p o ż y t k u d u s z l u d z k i c h*, z polecenia XX, H. Gulskiego i H. Górskiego. 10

- 45.) Koronka na cześć Niepokalane-
nego Poczęcia Najświętszej Maryi
P. Bogarodzicy. 3
- 46.) Historia o siedmiu mędr-
cach 25.
- 47.) Skarb Watażki, mocno i pię-
knie oprawna 75
- 48.) Krwawa Noc 15.
- 49.) List Agatona Gillera o organiza-
cyi Polaków w Ameryce 10.
- 50.) Jaskinia Beatusa, w mocnej
oprawie i złotym tytułikiem 75
- 51.) Józef Koniuszewski, wspo-
mnienie z czasów prześladowania
Unitów na Podlasiu, napisał Nadbu-
żanin. 25.
- 52.) Kwiat preryi między Indyj-
czykami, powieść z zachodnio-pół-
nocnej Ameryki, przez Ch. A. Mur-
ray, przełożona na polskie przez
Józefa Betkowskiego, w mocnej opra-
wie, ze złotym tytułikiem 1.25